

Przebieg sprawy

PRZEGLĄD LWOWSKI.

Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

1. Sierpnia 1871.

Poszyt piętnasty.

(Fide ac veritate.)



Spis rzeczy:

1. Dwudziestego Września. [Epizod z czasów wzięcia Rzymu].
2. Bazylianie (rzecz historyczna). Przez pana Kreczowieckiego.
3. Przegląd literatury historycznej. Przez X.
 - I. Starodawne prawa polskiego pomniki. Wydał Ant. Zygm. Helcel. (Tom. II.)
 - II. Codex diplomaticus Universitatis studii generalis Cracoviensis. Pars prima. Kraków, nakładem Uniwersytetu. 1870.
4. Dwór i plebania. Przez Z. L. Dębickiego.
5. Czy Jezuici zgubili Polskę? (C. d.)
6. Wrażenia niemieckiego publicysty z podróży po Galicyi. [Dokończenie].
7. Literaci w Niemczech. (z Tygodn. kat.).
8. Zapiski z literatury francuzkiej.
9. Z Wielkopolski. (Lipiec).
10. List Ojca św. i Dziennikarstwo w Galicyi.
11. Kronika.

L W Ó W.
NAKŁADEM REDAKCYI.

Z DRUKARNI KAROLA BUDWEISERA.
1871.

Rozpoczętą w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następujących numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuci. — Kto są Jezuci. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu — Rząd Jezuitów jest-li despetyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuci zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historyi literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuci. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuci mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuci. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zaslugi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Klótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia klótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuci i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historyi.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuci spowiednicy panujących. — Czy Jezuci mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuci i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuci w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zaslugi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Kozackie wojny czy były owocem nietoleraucyi i fanatyzmu jezuickiego.

P W U D Z I E S T E G O W R Z E Ś N I A .

Wedle zachowanego od krzyżowych jeszcze wojen zwyczaju — wieczorem dziewiętnastego września tysiąc osiemset siedmdziesiątego roku, w godzinę po *Ave Maria* nadzwyczaj ponuro odezwały się dzwony u św. Piotra. Dźwięk ich, odbiwszy się o wyniosłe kopuły świątyn i olbrzymie ruiny wspaniałych niegdyś w pogańskiej Rzymie cesarskich pałaców, płynął w rozległe obszary rzymskiej kampanii, aby tam w dalekich jej ustroniach skonać zupełnie. Aliści, w tym właśnie czasie z ostatnim wibrującym jeszcze w powietrzu ich dźwiękiem powstał na ulicach Romy ruch nadzwyczajny. Kędy okiem rzucisz, tłumy snują się ludu. Wszyscy nadzwyczaj spiesznym zdążają krokiem.

— Gdzie idą? — zapytasz. — Co za przyczyna tego niezwykłego ruchu, tej osiadłej na licach tego ludu trwogi i obawy?

— Gdybyś wszedł do kościołów, znalazłbyś je przepelnione wiernymi. W tej chwili mieszkańcy Romy wszyscy się w nich znajdują. Modlą się... Bo najezdnik rozłożył obozy swoje około Wiecznego Grodu.

— Kto on? — Czy nie muzułmanin przypadkiem, odrosły w potęgę, chcąc pomścić niesławy swojej, jaką mu miecz Sobieskiego w Wiedeńskiej zadał wyprawie, podsunął się aż pod same mury chrześcijańskiego świata stolicy? — A może z ognistych pustyń Afryki wyszłe na nowo dawnych Maurów rozbastwione hordy obsaczyły Rzym, aby na karkach jego mieszkańców zaostrzyć jatagany swoje — obławować się łupami, pomordować kapłany i starce, w jasyr uprowadzić mieszkańców, znievažić urodne Rzymu dziewice i na szczytach Chrystusowych świątyn symbol zmysłowości, półksiężyc swój zatknąć?

— Nie. — To nie bisurmanie. — Nie Turcy, ani dzikich Afrykanów potomki — ale stokroć gorsi od tamtych...

— Któż więc na Boga?!

— To król, na którego sztandarach bieli się z dala krzyż. — Tak, krzyż! Obok Chrystusa skonał także na krzyżu w bluźnierstwach rozbójnik. — Ale ten król chrześcianinem katolikiem się zowie! a jednak w siedmdziesiąt przeszło tysięcy żołdactwa uderza na Gród Piotrowy, na własność i dziedzictwo Kościoła — na Bóżego pomażanca godzi!

* * *

Noc przedziwnie piękna. Ciemno-lazurowy, niemal do hebanu podobny firmament pokrył się milionami iskrzących się na nim niebieskich światła. Gwiazdy, jedne błyszczą jasno, inne jak niewinne dziewczę to zapłoną, to znów pobledną, migotają się, i niby ze wstydu kryją naraz światła swoje przed wzrokiem człowieka.

Z mnóstwa rozkosznych will i ogrodów balsamiczna woń kwiatów przepelnia powietrze. A wśród cieni jakieś ukazują się olbrzymy. Są to pyszne niegdyś dumnych Cezarów pałace — rozkoszne łaźnie, tryumfalne łuki, olbrzymie amfiteatra. Dzisiaj legły w zgliszczach, ale pełnych majestatycznej wielkości. Wśród nich zda ci się, stąpają jeszcze w zarzuconych togach światowładni pogańskiej Romy mieszkańcy.

I umysł człowieka w dawne cofa się wieki — staje żywo przed oczyma rozwiadająca moc poganizmu a obok niej okolone trzech-wiekową koroną krwawego prześladowania całe chrześcijaństwo. Obok tyranii... martyrologium — tak było i tak będzie zawsze!

— I co się stało z potężnymi wrogami Kościoła? — Skamienieli... Prawica Boga strzaskała ich potęgę i powstała z niej same tylko gruzy, aby wiecznie świadczyć o Bożej potędze! I myśl twoja, mimo woli, ku Bogu się wznosi — mknij w niebiosa. O! bo w Rzymie i niebo jest bliżej.

Aliści z pośród tych marzeń budzi cię jakiś głos wrogi.

— Co to jest?

Powiedz swoim wzrokiem po opierścieniąjących miasto równinach. W dal i szerz jak tylko dojrzeć możesz, w równych odstępach rozrzucone widzisz ogniska. Głosy stojących na czatach i rzenie rumaków dolatują twój ucha. — To Piemontczyk rozłożył się obozem — jutro z pierwszym słońcem brzaskiem do szturm uderzy. Sądził, że mnogością swoich zastępów zatrwoży wiernych Kościoła obrońców! — Omylił się... Czwartego już parlamentarzysta dostał odprawę. — Wojsko i ochotnicy rzymscy odpowiedzieli:

— „Droga do Rzymu tylko po trupach naszych!...“

Stare mury i bramy miasta obsadzono wojskiem — każdy punkt słabszy zajęli żuawi.

* * *

W jednej pięknej willi pomiędzy Porta Pia a Salara, pod rozłożystymi palmami przy roznieconem dla oświetlenia pozycyji ognisku, w malowniczych swych mundurach z czerwonymi na piersiach krzyżami, siedzą lub wspierają na rękę, leżą kilkunastu żuawów, i żywo a weselo rozmawiają.

— Szkoda że nas Polaków nie postawiono na wysuniętych placówkach, mielibyśmy bowiem pierwsi szczęście powstrzymać Piemontczyków atak — odezwał się, dorzucając kilka zeschłych gałązek winogrodu do ognia, urodny, jasno-blond młodzieniec.

— Mój Stasiu, daruj — ale nie podzielam twojego zdania. Chlubniej daleko bronić bram Rzymu.

— Masz słuszność — przerwał obok siedzący — gdyż według taktyki wojennej, najsilniejszy atak wymierzony będzie na pozycję, jaką zajmujemy.

— O tem chciałem mówić właśnie. — Nasz kolega królewicz hiszpański Don Alfons, rozmawiał dzisiaj z generałem de Courtin; a ten mówił mu, że z rozłożonych sił nieprzyjaciela i jego przygotowawczych do ustawienia dział robót, wnosi, że bramy Pia i Salara najsilniej będą zaatakowane.

— Bravo! — wykrzyknęli z uniesieniem wszyscy. — Damy poznać Piemontczykom, jak się Polak bije!

— I to na bagnety! — zawołali inni. — Przypominacie sobie bracia tę piosnkę: „Hej kto Polak, na bagnety! — Żyj swobodo, Polsko żyj!“ A ja dodam: Chrystusowa Romo żyj!

— Nie uwierzycie — odezwał się dźwięcznym głosem jasny blondynek — ile szczęśliwy jestem, że przynajmniej raz powącham już prochu; i to w obronie Kościoła! Będzie to dla mnie pierwszy dopiero chrzest. W powstaniu nie byłem, bo mnie zastało niemal jeszcze dzieckiem. Ale widząc przechodzące często przez dobra moich rodziców oddziały powstańców, budziła się we mnie chętka pobiedz za nimi. Ojciec mój przyobiecował mi, że jak dorosnę, to pozwoli wstąpić mi do polskiego wojska. Ale że powstanie jak najsmutniejszy obrot rzeczy wzięło, kraj zasłał się gruzami, prześladowanie srożyło się w sposób najgwałtowniejszy, — nadzieja ujrzenia polskiego wojska upadła... Aż tu przed kilkoma miesiącami, gdy dzienniki zaczęły pisać o nowo gotującym się napadzie na Kościół święty, — ojciec mój, pewnego dnia przywołał mnie do swego gabinetu, a pocałował w czoło, rzekł:

— Synu mój, jedyny! — bo drugiego nie mam — kończysz lat dziewiętnaście, możesz więc być już żołnierzem; — słyhać, że nieprzyjaciele wiary świętej zagrażają Rzymowi, — zagrażają Ojcu świętemu, za dni więc cztery pojedziesz tam i wstąpisz do pułku żuawów. Pan H..... będzie ci towarzyszył w drodze. Pamiętaj, że bronić Kościoła to nasza najświętsza sprawa. Broniąc go, bronimy Polski! — Nie bądźmy nigdy obojętni na sprawy Kościoła, osłabia to w nas boiem i miłość ojczyzny, i narodowość naszą na szwank zupełny naraża. Przypomnij-no sobie mój synu naszego sąsiada! — Zdawało się, że mimo znanej nam obojętności jego w wierze, gorącym jest patriotą, Jobrym synem ojczyzny. Cóż się jednak stało? Gdy rząd jął prześladować, zostaje schyzmatykiem — „dla formy — jak twierdził — wszak Polakiem i tak dobrym być można“. — A dzisiaj? — otwarcie już zachęca wszystkich do prawosławia i radzi, aby się z Moskalami połączyć całkowicie. — „Przecież jesteśmy Sławianie — dodaje — i nie-masz tak wielkiej pomiędzy nami różnicy“. — Ot, widzisz mój synu, do czego przychodzi Polak, jak tylko wierze ojców i Kościołowi raz się przენiewierzy.

— Przepraszam, że ci przerwę Stasiu — chciałbym powiedzieć co czytałem wczoraj w jednej francuzkiej gazecie. Wspomina, że niektóre nasze dzienniki przyklaskują Piemontczykom. Gazeta słusznie

się dziwi, „jak mogą Polacy podobne czyny pochwalać? Bo jeżeli stracili już wiarę, to własny interes od tego wstrzymywać ich powinien. Wszak Rzymianin lub Neapolitańczyk z równą trudnością rozumie Piemontczyka jak Polak Moskala. Pomiędzy pierwszymi równa nienawiść do siebie jak między ostatnimi. Moskal rozstrzeliwał, więził i mordował, a do dziś dnia czyni toż samo w Neapolitańskim i Sycylii Piemontczyk. Jeżeli więc Polacy pochwalają czyny ostatniego, niechajże — dodaje gazeta — poprzestaną już rozwodzić swoje żale i skargi i co rychlej rzucą się w objęcia Moskali, aby dla jedności słowiańskiej poświęcić swoje tradycje, obyczaje, narodowość — słowem wszystko, na co się ich naród wiekową pracą składał. Toż samo co dobre i sprawiedliwe, według Polaków, na Południu, nie może dla nich być wrogiem i złem dla tego tylko, że jest na Północy.“

— To prawda — odezwał się trzydziestokilkoletni wiarus. — My Polacy mężnymi zawsze jesteśmy w boju — braku odwagi nikt nam zarzucić nie może, do poświęcenia niesłychanie skorzy, na szlachetnych uczuciach nie zbywa, ale za to, politycznego zmysłu na makowe nie mamy ziarnko. W sercach naszych tli zawsze iskra wiary i w onczas nawet, kiedy z bezbożnikami w swaty wchodzić zwykliśmy. Wszystko i wszyscy nas zwodzą, a my ludzenia siebie samych nigdy nie poprzestajemy. Ale dobry Bóg patrząc na inne a może i liczne cnoty nasze, sprawi, że wiara rozplomieni się niezadługo w sercach naszych, i Polska po długoletnich krwawych przejściach, po bolesnem doświadczeniu a bolesniejszych jeszcze zawodach przekona się, że tylko od wierności dla Kościoła jej przyszłość zawisła. I w onczas zajmie przynależne jej w rodzinie europejskich ludów miejsce — cała lśniąca cnotami przodować im będzie. Prawda, że my jej nie zobaczymy jutro położymy życie nasze w obronie Kościoła, ale i to, na szalę zasług drogiej nam ojczyzny Bóg niezawodnie policzy!..

— Co mówisz kolego? Polski nie ujrzymy? O nie! — tam z nieba jednym spojrzeniem duszy obejmujemy ją całą!

— O! jak szczęśliwi jesteśmy drodzy towarzysze — przerwał obok stojący — że Bóg dobry pozwolił nam dzisiaj bronić tak świętej sprawy — jutro, — jutro o tej godzinie będziemy już w niebie! — jutro o tej godzinie ujrzymy pod naszymi stopami te jarzące się dzisiaj po nad głowami naszymi gwiazdy! — jutro będziemy zaciągać wartę przed Tronem Boga-Rodzicy!..

— Tak, jutro będziemy w niebie! — odezwali się chórem pa-pieczcy zuawi i jedni drugim rzucili się w objęcia.

W tej chwili dał się słyszeć sygnał — trąbka wezwała do porządku i każdy wołając: *Adio cari!* — *adio!* — do widzenia w niebie! — spieszył do swojej kompanii.

Na wszystkich punktach przez rzymskich ochotników zajętych, do żołnierzy i złożonej w kozły broni, mnogość obojej płci uwija

się ludu. Siwowłosy starzec, poważna matrona, hoża dziewoja — przyszedli pożegnać się z synem i bratem swoim. U jednych i drugich zalzawione oczy. Jedni drugim polecają się wzajemnej modlitwie i pamięci... — Tam matka na czole swego syna ostatni składa pocałunek — błogosławi i na niebo wskazuje! — „Dziecko moje, ciebie jednego mam tylko — jednego, sama jedna sieroca wdowa na tym bożym świecie — jedyną byłeś w mojej starości podporą, jedyną pociechą w życiu! Dzisiaj Bogu cię oddaję! Pomnij o dziecię moje — pomnij o twojej biednej matce, gdy przed Tronem Pana w męczeńskiej stanesz koronie!“ — Gdzieindziej szronem okryty mężczyzna, z dumą starym przyjacielowi przedstawia swojego syna. — „Wychowałem go na obronę Stolicy Piotrowej, na obronę ojczyzny mojej“. Zaledwie tych słów dokończył, wnet młodzieńcze dziewczę zarzuca szkaplerz na szyję swojego brata i ubolewa, że nie jest mężczyzną. — „Stanełabym bowiem do walki z wrogami.....“

Aż tu naraz zagrzmiała wojskowa muzyka. — Grają marsza... Nowe, w ślicznych strzeleckich kostiumach, ukazują się bataliony rzymskich ochotników. Sami obywatele miasta!... Za nimi w czarującym malowniczym stroju, z karabinami na ramieniu maszerują wieśniacy. Maszerują jak stare, w bojach wyćwiczone legiony! Niezliczone tłumy ludu, z pochodniami w rękę, towarzyszą im wołając: *E viva Dio!* *E viva Pio IX!* *E viva Papa il Re!* Niech żyje Bóg! Niech żyje Pius IX! Niech żyje Papież-król!

* * *

Z pierwszym braskiem zorzy, zaledwie na firmamencie nieba rysować się poczęły wyniosłe szczyty Apeninów — zaledwie słabe światło purpurową krasą znaczyć obłoki poczęło, ryknęły do koła Romy wycelowane na nas liczne działa. Ziemia zatrzęsa się pod stopami. Szyby w oknach zabrzękły, budynki zda się ze strachu drzą a pałace się w powietrzu granaty jaskrawo-różową lunę rozlały nad miastem. Wnet drugi huk ale mniej silny rozległ się na murach... Walka zaczęła się na dobre.

Na ulicach wśród pękających bomb i granatów, spieszą bataliony pomocnicze w miejsca najbardziej zagrożone. Kawalerzyści cwałując, rozwożą rozkazy w rozmaite strony — baterye co koń wyskoczy, pędzą ku bramom miasta, ciężkie ich koła huczą po rzymskim bruku.

Pomiędzy Porta Pia a Salara, nieprzyjaciel stalowemi kulami z sześćdziesięciu przeszło armat wali w mury miasta. Przed Porta Pia z dwoma tylko działami stoją papieżcy artylerzyści. Na nich skierował mnożę strzały swoje zdradliwy Piemontczyk. — Odpowiadają mu kiedy niekiedy zaledwie, ale za każdym wystrzałem wróg jedno działa traci, „demontują je papieżnicy“..... Rozstawiona gromadka dzielnych żuawów, zmiata jego kanonierów. Z każdą chwilą bój się wzmaga. Wielu już z obydwóch stron poległo. Z artylerzystów papieżkich ani jeden nie został..... W męczeńskiej swojej koronie stanęli przed Bożym Tronem! Ich miejsca zajęli żuawi — dzielni papieżcy żuawi!

Grzmią z obydwóch stron znów armaty. Od ogromnej ilości pocisków wali się mur, pryskają kamienie — pękają bomby. Dym, kurz, skorupy granatów, wszystko miesza się z sobą i sypie na mężnych obrońców Kościoła.

Okopy już zniszczone, zgruchotane działa, prochowe skrzynie wysadzone w powietrze — a olbrzymie mury z hukiem padają na ziemię i ogromny wylom otwiera już wrogom wejście do miasta. — Z piekielnym okrzykiem pędzą jego rotę... Biegną i papieżcy, aby z piersi swoich stawić im zaporę. Za pierwszym zgrzytliwym trzaskiem jedynej jaką mają żuawi kartaczownicy, ścielą się pokotem pierwsze nieprzyjaciela szeregi — po ich trupach pchają się następne. Zwarli się... Ogień ustał a straszna w ręku chrześcijańskiego rycerza broń — bagnet w ręku papieskiego żuawa, purpuruje się krwią najezdników. Walczą!... Trzask łamiącej się broni — wrzaski wdzierających się do wylomu Piemontczyków — jęki konających, bluźnierstwa okropne i *Vive Dieu! Vive Pie IX!* napelnia powietrze Wróg odparty..... Dwa działa przyprowadzone w porę, uniemożliwiły dalszy jego atak i do szybkiego zmusiły pierzchnięcia! *E viva Dio! E viva Pio IX! E viva Roma!* wyrwało się z piersi tryumfujących tą rzą Kościoła Obrońców.....

Sześć godzin trwa już bój krwawy: jeżeli się dalej jeszcze pociągnie, z ostatnim z chrześcijańskich rycerzy zginie większa połowa świętokradzkiego najezdника żoldactwa Atoli niezbadany w wyrokach swoich Bóg chce ich jeszcze przy życiu zachować. Wśród boju nadchodzi rozkaz od Ojca świętego: poprzestać już walczyć! Zapadnięcie się ziemi nie byłoby przeraziło bardziej dzielnych obrońców Kościoła, jak ich przeraził ogłoszony im rozkaz. Oni, co z dalekich przybiegli krain, aby bronić Stolicy Piotrowej — oni co życie swoje poświęcić za Nią pragnęli — oni mają broń złożyć dzisiaj przed wrogiem Kościoła?! Nie, to być nie może..... Po raz, drugi i trzeci rozesłano rozkazy — wskazano im na powiewającą na wspaniałej świętego Piotra kopule białą chorągiew i krwawy bój ustał!

Z kilkutyśiecznym tłumem, zebranych z całej Italii *lazzaronów*, różnego rodzaju włóczęgów, wchodzi do Wiecznego Miasta najezdnik: krzycząc — z chorągiewami w ręku przebiega place — wpada do domów i sztyletami zmusza wyjść na ulicę. Wypuszczeni kryminaliści z brudnym motłochem mają przedstawiać nieposiadających się niby z radości Rzymian. Ukazują się i zdrajcy. — Brud z brudem się brata. *E abbiatta canaglia* w ekstazach piekielnej radości — bluźni Bogu i przeklina Papieża!.....

Nad brzegiem zarzuconej odłamkami drzew fontanny we wspa-
nialej willi Lodovici, na zielonej darni leży błąd jak chusta w zu-
awskim mundurze dorodny młodzian. Na czole i szyi otwarte rany—
krew tryska z nich strumieniem. Daremnie klęczący przed nim jego
towarzysze zatamować ją usiłują..... — Naraz zwarte otwiera powieki
i silnym nad podziw głosem do nich przemawia:

— Gdzie są nasi koledzy? — gdzie moi rodacy? czyście ich
widzieli już wszystkich? — szkoda, że ich tutaj niema — pożegnał-
bym się był z nimi..... a może są już w niebie, zaniosę im więc
od was bratnie pozdrowienie... Gdzie jest nieprzyjaciół? co robi?

— Wszedł już do miasta!...

— Wszedł? „O nieszczęśliwi! Bóg ich rychło stłumi. — Kościół
zwycięży — krzyż Chrystusów zapanuje nad światem z wyżyn Wa-
tykanu — promieniami miłości dosięgnie ostatnich kończyn ziemi —
przeniknie serca ludów i napełni je wiarą! — O Polsko moja i Ciebie
rychło szczęśliwą już ujrzę z nieba! Jezu, miłości moja, idę już,
idę do Ciebie!“ — To powiedziawszy, podniósł się cokolwiek, wznosił
ręce w górę, w piękny lazur nieba wzrok swój zatopił i na ręce to-
warzyszy opadł.....

Tak umarł chrześcijański rycerz — jedyny syn u swoich rodzi-
ców — tak umarł żnaw papieżki, syn polskiej ziemi!...

Utraciłem jednego z najdroższych mi przyjaciół. Tyłu moich
towarzyszy broni już w niebie, a ja tulam się jeszcze, biedny i tęskny
wygnaniec... wśród obcych tułacz a wśród swoich obcy....

S. M.

KSIĘŻA BAZYLIANIE

NA WOŁYNIU, PODOLU I UKRAINIE.

Ich znaczenie i wpływy. — O szkole powiatowej humańskiej. — Kasata zakonu
i ich szkół. — Wzmianka o niektórych uczniach z przytoczeniem zdarzeń społ-
czesnych.

Niewczesną zdaje się byłoby rzeczą podnosić dziś zasługi zako-
nów, zwłaszcza u nas, gdzie uprzedzenia pewne, coraz silniej wy-
stępujące w tym wieku liberalno-postępowym, nie przyczyniając się
bynajmniej do usunięcia błędów i fałszów historycznych, utartych
niejako i przyswojonych w opinii powszechnej, wyradzają pewną
obojętność i lekceważenie rzeczywistych w narodzie zasług, skoro
to przyznać należy osobom zdyskredytowanym w panującej opinii
a zwłaszcza Zgromadzeniom zakonnym, ostracyzmem tejże opinii
z góry potępionym. W tej właśnie kategorii mieszczą się Ojce

których prace i zasługi podnieść tu acz bardzo niedokładnie, zamierzylem, jakie wdzięczniejsza potomność zapewne ocenić potrafi, których kassata jak i upadek szkół jakie utrzymywali, nie wywołały już odpowiedniego takiej klęsce spólczucia, i żadnej nawet wzmianki we współczesnych pismach nie zostawiły.

W smutnych i ciężkich kolejach naszego porozbiorowego bytu miotani byliśmy na przemian to złudzeniami uroczych nadziei, to odrzucani w przepaście zwątpienia i rozpaczy, w których zaledwie, że nie z życiem rozstać się przychodziło, a przecież odradzaliśmy się w nowych pokoleniach na gruncie tych ponikłych nadziei i rozczarowań, zawsze z tem tętnem życia, z tą nigdy niegasną iskrą długiej dziejowej egzystencji w żywej tradycji wypielegnowanej, która nam dodawała nowych sił do pracowania dla dobra ojczyzny..... W poczuciu też silnem tego obowiązku uchwiania jednego z szacownych podań naszej prowincyi, ośmielam się nieudolnem wprawdzie piórem podać do wiadomości ziomków przy wspomnieniu o szkole, gdzie początkowe wychowanie odebrałem, dzieje kassaty i upadku zakonu, pod którego przewodnictwem i kierunkiem ta szkoła przez znaczny przeciąg czasu zostawała i którego zasługi tak w misjach śród ludu bałamuconego zgubnemi dla kraju wpływami jak w kształceniu młodych trzech prowincyj, Wołynia, Podola i Ukrainy są nieocenione. Nim jednak przystąpię do opisu tej bolesnej katastrofy upadku, muszę krótko acz niedokładnie skreślić początkowe dzieje tego zakonu, miejsce jakie odtąd w Polsce i Rusi zajął i na jakim tak ważnemi zasługami, pracą i poświęceniem się swem odznaczył. W 1617 roku Józef Weliamin Rutski Metropolita Kijowski i Halicki, monastery Bazylikańskie, które przyjęły Unię z powszechnym Kościołem na synodzie w Nowogródku, poddał głównemu zarządowi pretoarchymandryty z zastrzeżeniem uległości dyecezalnym biskupom i ułożył stósowne zakonne ustawy, jakimi one odtąd się rządziły. Z rozszerzeniem zakonu Świętego Bazylego Wielkiego sformowały się dwie prowincye, litewska pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej i koronna pod tytułem Opieki Najświętszej Bogarodzicy. Zakon ten, jak i całe tak zbawienne dzieło, Unii wschodniego z zachodnim Kościołem, doznawało stale czulej opieki najwyższych pasterzy. W Propagandzie i kolegium Greckiem utrzymywało się zawsze dwóch kleryków tego zakonu, krom tego założone było seminarjum główne w Wilnie i nosiło tytuł Alumnatu papieżkiego a 1644 r. Urban VIII. przeznaczył dla zakonu Kościół S. Sergiusza i Bacha w Rzymie i przy nim stałą rezydencją prokura-

tora Bazyliańskiego dwóch prowincyj Litewskiej i Ruskiej ustanowił. Moskwa niechętnie patrząc na rozszerzenie zakonu jej schyzmie zagrożającego w 1804 roku zniosła Archimandryą, ale przy reszcie prerogatyw zostawiła; po zaborze kraju jeszcze na Litwie siedm opactw było i tyleż w Polsce na Rusi a mianowicie Dubieńskie, Mieleckie, Owrućkie, Drohobuskie i Żydyczyńskie pod Łuckiem, gdzie przy biskupie rezydującym było seminaryum grecko-katolickiego obrządku aż do czasu kiedy Metropolita ostatni Bułhak do Petersburga przeniesiony został i tam wytrwale, pomimo nalegań, przy Unii się utrzymując, niedługo świątobliwego żywota dokonał. Na Ukrainie było jedno założone przez opata Fyzykiewicza, to jest Kaniowskie, przy którym znajdowały się publiczne szkoły. Zakon ten wschodniego obrządku, nie ustępował w gorliwości innym zachodniego rytu; poświęceniem się, pracami na misjach i kształceniem młodzieży dorównał nawet Jezuitom, od których formy w stroju, zwyczajach, w systemie nauczania i prowadzenia uczniów przyjął; i za ich to zezwoleniem OO. Bazylianie we wsi Semenki, pod Barem na Podolu, danej im przez ks. Jerzego Dominika Lubomirskiego, szkoły zaraz zaprowadzili.¹⁾

Po kassacie Jezuitów w 1773 roku, kiedy utworzoną została komisya edukacyjna, podali do niej OO. Bazylianie prośbę, aby im dozwolono po znakomitszych klasztorach utrzymywać szkoły publiczne, obowiązując się według reformy przez komisję wprowadzonej wykładać nauki. W skutek zezwolenia, naprzód w Barze r. 1775, przeniosłszy się z Semenek, w opuszczonem jezuićkiem kolegium otworzyli a następnie przy bogatym opactwie w Owrućku i Włodzimierzu na Wołyniu. Wkrótce i w Lubarze dzwignięty klasztor w 1773, szkołami wielkiej wziętości używającemi zasłynął. Nie ustępująca innym w fundacjach kościołów i klasztorów można i szeroko po różnych częściach Polski rozsiadła znakomita rodzina Pilawitów Potockich, wpłynęła przeważnie na założenie szkół w tych najpiękniejszych stronach Ukrainy. Z brzegu od granicy moskiewskiej zaludnione one były rodzinami kawaleryi narodowej, na kresach służącej, wysłużonymi gracialistami i powinowatymi możnego domu panów Potockich. Dla wychowania ich dzieci zrazu wojewoda Kijowski, Franciszek Salezy Potocki, kilku bazyliańców z Krystynopola,

¹⁾ Oprócz szkół, była tam i główna siedziba ich misyonarzy dla ludu, którzy, dla odznaczenia się od drugich Ojców, nosili krótko podstrzyżone brody.

rezydenci swojej, do Humania, miasteczka wśród pustyni tegoż nazwiska po Strusiach od Kalinowskich nabytej, sprowadził i tam przy farze klasztorów mały z drzewa i szkółkę zbudować kazał. Dwa lata zaledwie ta fundacya poprzedziła straszną katastrofę rzezi humańskiej, wszakże i w tak niedługim przeciągu czasu OO. Bazylianie świetne dowody gorliwości swojej i pracy złożyli, liczną młodzież z całej okolicy i z najdalszych kresów ściągnęli i jeżeli nie zdołali zupełnie fatalnych wpływów odwrócić, to pewna, że ich misye rozpowszechnieniu ich po wsiach skutecznie zapobiegły, tak iż wiele z Humańskiej okolicy osad, jak Podwysokie, Leszczynówka i inne przystępu do granic swoich hajdamakom wzbroniły i zbiegów w ręce władzy karzącej najochotniej oddawały. Najpewniejszą rzeczą i dotąd miejscowem podaniem potwierdzić się dającą, jest, że sielska ludność humańszczyzny w napadzie na Humań, w rzezi i jej okropnościach udziału nie miała; hultaje, zbiegi tylko, z Zaporozcami i Kozakami mściwego i zawiedzionego w nadziejach Gonty, ochotnie dla rabunku i pijaństwa się łączyli; włościanie uwiedzeni czytaniem przez popów hramotami biernie się zachowywali, wielu ze szlachty ocalili i w ogólności wstręt swój do kolijów i koliszczyzny okazali ¹⁾ Najświętniejszym pomnikiem działalności misyjnej OO. Bazylianów jest ówczesny ich misyonarz i ofiara rzezi O. Herakliusz Kostecki. Według podania p. Krebsowej i ks. Mładanowicza miał on zginąć podczas procesyi na rynku, niosąc Przenajświętszy Sakrament, skłuty dwiema

¹⁾ Żyjący jeszcze za czasów moich podeszły w wieku obywatel, sąsiad mój Kajetan Ułaszyn, dziedzic wsi Kapiowaty, sam mi opowiadał, iż był wtedy studentem w tej szkole, i że już po zamordowaniu ks. Kosteckiego, kiedy całą gromadkę studentów spędzono dla przyjęcia Chrztu prawosławnego do studni obok klasztoru będącej, w którą uporczywszych wtrącono, wśród zamieszania udało mu się umknąć i szczęśliwie dobiec do futuru zamejskiego, Kamionką zwanego (miejsce gdzie Szczęsny Potocki śliczną Zofiówkę założył) i tam u liściowej biednej kobiety przechowany, późnym już wieczorem do rodziców odprowadzony został

Z tejże epoki drugi podobny wypadek. Podkomorzy Braclawski Dyonizy Korzeniowski ojciec kapitana Onufrego i w świecie uczonym głośniejszy p. Reginy, będąc także studentem w tej szkole, szczęśliwym trafem zemknął od fatalnej studni, a biegnąc bez przytomności, napadł na powracającego z targu chłopca ze wsi Leszczynówki o dwie mile od Humania odległej, ten przelęknęły ukrył naprzód w wozie, a za miastem przebrawszy go w zgrzebną koszulę i siermięgę, zawiózł do wsi swojej i tam go przez czas trwania rozruchów, przechowywał. Wdzięczny za to ocalenie podkomorzy, wyzwolił z poddaństwa całą rodzinę tego włościanina nazwiskiem Romaniuka i przeniósł z Leszczynówki, wsi należącej do ojca mego, do dziedzicznej wsi swojej Bochennik pod Winnicę.

- dzidami, obok niego miał też poledz serwitor, który wypadły z ręki przebitego Sakrament spożył, chroniąc go od dalszej zniewagi. W papierach jakie skrzętny w poszukiwaniu ojczystych pamiątek Eustachy Heleniusz w Petersburgu z zabranej tam biblioteki klasztornej znalazł, inna jest wersja tego krwawego wypadku. Jest tam wzmianka o miejscu, na którym ma się znajdować ciało męczennika, a to podanie zatwierdza pamiętny mi dobrze z rannej doby życia, wiążący obok biblioteki w klasztorze humańskim wizerunek O. Herakliusza. Stoi on na dwóch skrwawionych włóczniach, w lewej ręce krucyfiks, w prawej Przenajświętszy Sakrament z piersią dwiema ranami pokrytą. Scena odbywa się za obrębem klasztoru w perspektywie źle zachowanej. Hajdamacy mordują kłęczących zakonników i studentów. Ciała ich wrzucają do znajdującej się obok studni. Postawa męczennika wzniosła, szlachetna, oblicze wypogodzone, piękne ślady umartwionego życia noszące, z bródką krótko zaokrągloną, tą cechą misyonarskiego w zakonie powołania, podpis pod obrazem łaciński, jako w obronie wiary św. katolickiej „*crudeliter occisus*“. Ten podpis w lat kilkanaście potem widziałem dla rewizji klasztorów i spisania ich funduszów oraz ruchomości. W niedługim czasie Ojcowie niektórzy cudem ocaleni, na dawne stanowisko swoje do Humania powrócili, czynniej i gorliwiej jeszcze misyjne trudy wśród ludu srogo otumanionego ponosząc.

Nie podobna, aby zakon tak świątły, wychowaniu tyłu szlacheckich pokoleń na Wołyniu, Podolu i Ukrainie poświęcony, nie przechował w rocznikach swoich opisu tych prac misyjnych, jakie trwały lat kilka po rzezi. Oprócz tego, co wdzięczna pamięć moja nieudolnie na zaszczyt i chlubę zakonu w oczach naszych w pustelni Tryhurskiej pod Żytomierzem dogorywającego, zachowała, świadectwem ich prac gorliwych i nieustających są pomnikowe figury z napisami łacińskimi wyrażającymi daty odbytych tam bazylikańskich misyj. Te figury dębowe ¹⁾ prosto wyciosane oparły się dotąd niszczącym wpływom czasu,

¹⁾ W tejże wyżej wspomnianej wsi Leszczynówce znajdowała się podobna figura przy wjeździe do wsi obok gościńca stojąca. Napis na niej wyżłobiony: Erecta a pp. O. S. B. M. 1771 anno. Burza najprzód poprzeczkę krzyża skruszyła, kazałem wstawić nową a kiedy później całą już z nadgniętego spodu wyrwała, dla zachowania tej pamiątki Unii, kazałem skuć żelazem część odłamana i tak spojona ustawiłem na wyższym podmurowaniu, przytem całą pokostem pokryć, omalować i na ciemnym tle litery łacińskie białym kolorem od-

po licznych wioskach Podola, Wołynia i Ukrainy, a dopiero przed nie wielu laty, w skutek rozporządzenia mściwego rządu ręka brutalnych siepaczków, z oburzeniem ludu, zbawienne te godła wywróciła.

Nie mogąc z rozproszonych, jeżeli nie poniszczonych dokumentów zebrać dokładnych wiadomości o każdej z wyżej wymienionych szkół w tych prowincjach, (bo z Litewskiej prowincyi żadnej wiadomości zasięgnąć nie mogłem) dodać to tylko winienem, że od początku istnienia swego aż po rok 1831 następujące po sobie pokolenia szlachty w tych szkołach najliczniejszych podówczas (bo oprócz podolskiego gimnazjum w Winnicy, dawnej stolicy województwa braclawskiego, szkoły Karmelitów w Berdyczowie, Pijarów w Międzyrzeczu Korackim i rozgłośnego ale oddalonego Krzemieńca, innych nie było) wychowanie i instrukcją mniej więcej dostateczną pobierały, z dodatkiem tej jeszcze nie dość ocenionej korzyści, że ta edukacya bezpłatnie udzielana, przechowywała tradycyą narodowej kultury, upowszechniając ją na najniższych szczeblach społeczności naszej. Dała ona popęd do wyższego w głównej szkole Wileńskiej kształcenia się, utrzymując pewny rodzaj duchowej przewagi, nad ciemniejszymi, jaką jedynie opierał się przemocy i wszelkim przywłaszczeniom gniotącej materialnej siły. Nie mając pod ręką potrzebnych do tego materyałów, nie wiedząc nawet zkądbym je tu ściągnąć potrafił, czuję to dobrze, iż nie będę mógł podołać przesiewzięciu, skreślenia dziejów tak znakomitego z tyłu miar zakonu, wykazać go w świetle odpowiednim i podnieść zasługi tej działalności, jakiej do ostatniej chwili legalnego bytu swego w tych prowincjach, nie przestał rozwijać na korzyść Kościoła i kraju. Dla sklejenia, jakkolwiek z tak luźnych szczegółów, całego podania, widzę się przymuszonym zgrupować przy dokładniejszym opisie klasztoru i szkoły humanśkiej (gdzie wychowanie odebrałem) wszystkie relacye jakie tam zebrać mogłem i jakie w panięci mojej się przechowały, co przy skreśleniu samej katastrofy upadku, złoży pewną całość przynajmniej w tym kształcie, w jakim się społecznym przedstawiła i w jakim, w braku potrzebnych materyałów, do wiadomości obecnie podana być może.

W prowincjach naszych tj. na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, gdzie zaraz po zaborze schyzna rozpościerając się, całą niemal ludność

znaczyć poleciłem. Następnie w obec całej gromady mój kapelan już ustawioną ze stósownemi modlitwami poświęcił. Cała gromada z rozrzewnieniem asystowała tej restauracyi i najczulsze składała mi za to dzięki.

z małemi tylko wyjątkami zagarnęła, stanowczo i gwałtownie niszcząc wszelkie zabytki Unii, w jednym tylko zakonie Bazylianów oporu doznać mogła i tam go też jak w Barze znalazła, co też zapewne spowodowało chwilowe zawieszenie gwałtowności i oszczędzenie, oprócz Humania, z kąd zakonników wyrugowano, i innych klasztorów. Prowincya ruska OO. Bazylianów miała, jakeśmy to wyżej powiedzieli, opactw siedm. Z tych niektóre, a zwłaszcza Owruckie, liczące kilkadziesiąt folwarków, przedstawiało obok godności duchownej piękne wcale uposażenie. Mogło to być jedną z ponęt, obok politycznego widoku, zbliżenia się obrządkiem do ludu i podtrzymania tak pożądanej unii kościołów, iż szlachta chętnie się garnęła do zakonu Bazylianów, pociągnięta wyższością usposobienia zakonników nad kler świecki, kondycją swoją ziemiańską i kłopotami rodziny przygniecony. Widzimy nieprzerwany łańcuch opatów i dygnitarzy zakonnych, złożony z członków możnych i znakomitych rodzin polskich, Wołodkowiczów, Ochockich, Szaszkiewiczów, Strojnowskich itp. co z ochotą na wschodni obrządek przechodzili i tych wyższych godności z łatwością dostępowali. Tej też polityce przypisywali Moskale takie zupełne spolonizowanie Bazylianów i opór jaki schyzmie stawili. Oprócz wyżej wspomnianych znakomitszych rodzin, i ze szkolnej zdolniejszej młodzieży wielu sukienkę zakonną przywdziewało. Posiadali przytem OO. nie małą sympatyę w gronie okolicznych mniej zamożnych rodzin. Raz zawiązane stosunki utrzymywały się stale spółnością wiary i uczuć narodowych. Jednostajna barwa obyczajów ścierała szorstkość cech plemiennych i ta zaledwie w jedynej kaście Popowiczów w starciu się ze szlachecką butą okazywała się dopiero. Zresztą stan rycerski chętnie przed godnością zakonnego celibatu ks. Bazylianów uchylał swe czoło tembardziej, że ci i w misjach swoich wśród ludu i w kształceniu uczącej się w ich szkołach młodzieży, ideę jedności w wierze podnosząc, patryotyzm i poświęcenie się dla wspólnej ojczyzny najgorliwiej tem samem popierali.

(C. d. n.)



PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Starodawne prawa polskiego pomniki

wydał

ANTONI ZYGMUNT HELCEL.

Tom II. 4to XIX i 960 str — Kraków, L. Helcel, 1870.

W osobie Antoniego Z. Helcla straciła nauka polska przeszłego roku, niestety zbyt wcześnie, jednego z najpierwszych, powiedzielibyśmy nawet, najpierwszego badacza na polu dziejów i prawa polskiego. Prace śp. Helcla, czy to rozprawy naukowe czy to wydawnictwa, należą niewątpliwie do prawdziwych pereł nowoczesnej naszej literatury, odznaczają się głęboką wiedzą, starannem i gruntownem opracowaniem, niezwykłym darem krytycznym i badawczym, znajomością dawnych paleograficznych zabytków a wreszcie rzadkiem odczytaniem w utworach literatury ościennych narodów. Przy zdolnościach, jakie Helcel posiadał, przy wszechstronnem wykształceniu jego i niezmordowanem zamiłowaniu pracy rezultata badań jego musiały koniecznie wzrosnąć do olbrzymich rozmiarów a zgon jego stać się dla nauki naszej stratą niepowetowaną. Zgon ten przypomina nam poniekąd śmierć człowieka, którego czterechsetletnią rocznicę mamy niezadługo obchodzić, śmierć Kopernika, bo jak Kopernikowi już na łożu śmiertelnem przyniesiono pierwszy egzemplarz jego wiekopomnego dzieła o biegu ciał niebieskich, tak i Z. A. Helcel na parę dni przed śmiercią doczekał się ostatniego arkusza olbrzymiego, ogromnej doniosłości dzieła, o którym tutaj mówimy: drugiego tomu starodawnych prawa polskiego pomników. Niezmordowany pracownik, choć ostatnie lata życia swego przeleżeć musiał na łożu boleści, jednak na chwilę nie ustawał w pracy i do ostatnich godzin swego płodnego żywota oddawał się mozolnym studjom.

Rzadki to u nas zaiste przykład pilności, miłości do nauki i prawdziwego poświęcenia dla sprawy narodowej. Z głęboką nauką, jak wiadomo, łączył ś. p. Helcel zarazem i głęboką wiarę i z tego względu rzadki, niedościgniony prawie przykład dla innych.

O tem ostatniem dziele jego pokrótce tutaj pomówić zamierzamy, w nadziei, że który z kompetentniejszych od nas pisarzy naszych poczuje się do obowiązku splacenia długu, który się od nas śp. Helclowi należy, a mianowicie do napisania obszernego jego żywota, sumiennego rozbioru wszystkich dzieł jego i wykazania zasług, jakie ten niezmqrdowany badacz okolo dziejów i prawa naszego położył.

Tom drugi starodawnych prawa polskiego pomników składa się z dwóch co do objętości nierównych części, z pierwszej zawierającej (str. 1—33) księgę prawa zwyczajowego polskiego z wieku XIII w języku niemieckim z tłumaczeniem polskiem, i z drugiej zawierającej wyciągi z najdawniejszych ksiąg sądowych ziemi krakowskiej

(str. 34—960) w języku łacińskim, obie części poprzedzone wstępami ze zwykłą Helcelowi gruntownością, sumiennością i znajomością napisanemi.

Część pierwsza zatem zawiera prawo zwyczajowe polskie z XIII wieku, odszukane i przepisane z rękopisu biblioteki elbląskiej przez hr. Adama Sierakowskiego, a wydane, przetłumaczone i objaśnione przez Helcela w niniejszem dziele, pierwsza to obszerniejsza wiadomość o prawie zwyczajowem z czasu tego, o którym dotąd zbierać było trzeba rozrzucone po arcyzadkach dyplomatach skąpe wiadomości. Rozwozdzic się więc nad ważnością zabytku tego, byłoby niewątpliwie rzeczą zbyteczną, wykazywać zaś wszelkie w nim zawarte nowe szczegóły i wiadomości wymagaloby napisania obszernej rozprawy, która nie może wchodzić w zakres naszej recenzji. My więc potrącić tutaj możemy tylko o te szczegóły, w których z szan. wydawcą albo się nie zgadzamy, albo też podane przez niego wiadomości uzupełnić myślimy. Nasamprzód jednak poruszyć nam wypadnie jedną jeszcze okoliczność.

Mimo to, że pierwsza część dzieła tego już w maju r. 1868 była wydrukowana a prawie wszystkie czasopisma polskie doniosły wtedy o odszukaniu tego starodawnego zabytku prawa polskiego i o zamierzonym jego wydaniu przez Helcela, mimo to, że ukończone arkusze dzieła jego znajdowały się w ręku wielu ludzi zajmujących się studjami historycznymi i prawnymi, sam druk całego dzieła jednak dla ogromnej jego objętości nie mógł być tak wczesnie ukończony, — mimo to więc pan dr. Edwin Volckmann wydał w marcu 1869 r. na własną rękę starodawny ten zabytek pod tytułem: „*Das älteste geschriebene polnische Rechtsdenkmal*“ a przez to, ponieważ dzieło śp. Helcela dopiero parę miesięcy temu weszło do handlu księgarskiego, on a nie Helcel mógłby uchodzić za pierwszego jego wydawcę. Konstatując sam fakt, nie wchodzimy bynajmniej w powody, jakie kierować mogły niemieckim wydawcą; mając zaś tym sposobem przed sobą dwa niezawisłe od siebie wydania, nie możemy się wstrzymać od porównania ich z sobą.

Nasamprzód już tytuł Volckmanowskiego wydania wydaje nam się niewłaściwy. Jeżeli bowiem wydawca niemiecki rękopis ten uważa za najdawniejszy zabytek spisane go prawa polskiego, to grubo się myli, prawo zwyczajowe bowiem, choćby i najstaranniej zebrane i spisane przez jakiego prywatnego prawnika, jednak przez to jeszcze nie staje się tem, co rozumiemy przez „*jus scriptum*“, takim dla narodu naszego był dopiero tak zwany Statut Wislicki, o którym Helcel w pierwszym tomie swych starodawnych pomników umieścił tak gruntowne, prawdziwie jeniałne badania.

Obie te edycje zaś różnią się między sobą w dość licznych i ważnych miejscach.

I tak Helcel podzielił cały ten zabytek na 29, Volekman na 21 rozdziałów. Podział Helcelowski uzna niewątpliwie każdy znawca prawa polskiego za właściwszy i stosowniejszy, Volekman bowiem w rozdziałach swych złączył z sobą nieraz postanowienia takie, które

koniecznie odłączyć od siebie należało, tak mianowicie w rozdziałach 6, 9, 10, 11 i 14.

Dalej w rozdziale 5 wierszu 6 od dołu czyta Volckm. *abir* zamiast, jak stoi u Helcla *obir*; w rozdz. IX wierszu 1 od dołu czyta Volckm. *stut*, zamiast, jak stoi u Helcla (rozdz. XII) *fait*, co się nam wydaje jedynie odpowiedniem; w r. XI str. 15, wierszu 2 od dołu pisze Volckmann *czugen* zamiast *czu gen*, jak stoi u Helcla (rozdz. XVII wiersz 2 od dołu); w rozdz. XI str. 14 w. 6 od dołu pisze Volckm. *crank*, co tutaj zupełnie niema sensu, zamiast *trank*, jak stoi u Helcla (rozdz. XV str. 23, wiersz 2 od dołu); w rozdz. XVII str. 20 wiersz 3 od dołu pisze Volckmann *vechter* zamiast *richter*, jak stoi u Helcla (rozdz. XXV str. 31, wiersz 3 od dołu). Wreszcie opuścił Volckmann w przedostatnim wierszu rozdz. IX wyrazy: „*und under deme is geanevanget hot*“, które stać powinny pomiędzy *hot* i *der buszit*. — Wszystkie te szczegóły przemawiają za wydaniem Helclowskimi; nie zbywa jednak i z drugiej strony na miejscach, które zdaniem naszym lepiej odczytał niemiecki wydawca. I tak Helcel w rozdz. XXII pisze: „*eine ku adir zaw*“, zamiast czego czytamy poprawniej u Volckmanna rozdz. XIV: „*eine ku adir zcwu*“; Helcel w rozdz. XXIII „*und dez borggreveschaft*“, zamiast tego poprawniej u Volckmanna rozdz. XV: „*vnder dez borggreueschaft*“; — a wreszcie Helcel w rozdz. XVIII na samym czelu: „*Kurit*“, zamiast tego poprawniej u Volckm rozdz. XII: „*Furit*“.

Do niemieckiego tekstu dołączył Helcel tłumaczenie polskie. — Przyznajemy, że tłumaczenie to nastęrczało ogromne trudności, tak ze względu na archaizmy samego języka niemieckiego, jako i na często bardzo koszlawą budowę okresów. Mimo to jednak tłumacz po największej części trudności te po mistrzowsku zwyciężył, choć nie obyło się przytem bez niektórych niedokładności, które z sumiennością wykazać za obowiązek sobie uważamy, w tem silnem przekonaniu, że śp. wydawca o to nie tylkoby się na nas nie był pogniewał, lecz owszem byłby nam za to wdzięczny.

W tłumaczeniu swem więc opuścił Helcel w rozdz. II wyrazy: *und etlicher* aż do *hegin*; w rozdz. XII wyrazy: „*der in dar gevurt hat*“ a w rozdz. XXIII wyrazy: „*der iens genoz wol were*“. Wreszcie niedokładnie przetłumaczono w rozdz. IV ustęp: *wenne der vorgeladene* aż do *also dor vor gesprochen ist*, i w tym samym rozdz. ustęp: „*Ist her abir* aż do *zu gester*“.

Jednej z najważniejszych kwestyj, a mianowicie, kiedy zabytek ten powstał, kiedy spisany został pierwotnie, do jakiego czasu więc odnieść go należy, poświęca Helcel obszerny ustęp ze zwykłą mu gruntownością napisany, podczas gdy Volckmann, mało widocznie obeznany z prawem, zbywa ją paru słowami, oświadczając: że język wskazuje na wiek XIII, że zatem zabytek należy do czasu, w którym spisywano tak zwany *Sachsenspiegel*. Do podobnego rezultatu dochodzi wprawdzie i Helcel, konkludując przy końcu sumiennego swego badania: „Jako z jednej strony wszystko za tem przemawiać się zdaje, że podane nam w księdze naszej prawo zwyczajowe do drugiej połowy

XIII wieku należy, tak z drugiej nie można przypuścić, aby należało do wcześniejszego peryodu". W badaniu tem przeoczył Helcel ustęp z drugiego rozdziału pomnika tego, ustęp opuszczony nawet w tłumaczeniu, a z którego mimo to czas, w którym pomnik ten spisano, jeszcze ściślej oznaczyć można. W rozdziale drugim bowiem czytamy: „*Waz abir ze gerichtin, adir was vor in bekant wirt, adir geloukint, daz hat so getane macht, alze Markgreven und etlicher dutschen vursten, dy ir ding nicht en hegin: wen daz gerichte hat aller enden in ir gewalt gehegetes dinges macht*“, — co znaczy na polskie: Wszelakoż to co osądzą (polscy sędziowie) i co się przed nimi zezna lub zaprzeczy, to ma taką moc stanowczą, jak wyroki margrabiów i niektórych niemieckich książąt, którzy sądu swego nie gają, gdyż ich sądy mają wszędzie moc gajonego sądu“

Ustęp ten odnosi się do zwyczaju prawa niemieckiego, wyrażonego w tak zwanym *Sachsenspiegel*; według tego margrabiowie sądzili i wyrokowali z własnej swej władzy a nie z ramienia cesarskiego, tak jak inni książęta niemieccy. W czasie zaś, kiedy powstał *Schwabenspiegel*, skutkiem osłabienia władzy królewskiej, wywołanej głównie przez interregnum, zwolniły się w ogóle terytoria wszystkich świeckich książąt od obowiązku proszenia króla o władzę sądenia dla wszystkich najwyższych sędziów. Odtąd więc nie tylko margrabiowie, ale i wszyscy inni książęta świeccy sądzą i wyrokują z własnego ramienia, a nie z osobnego upoważnienia cesarskiego.

Ponieważ zaś w rozdz. II pomnika naszego autor stanowisko sędziego polskiego porównywa ze stanowiskiem niemieckich margrabiów i niektórych książąt, którzy wyrokują z własnego ramienia, wynika ztąd, że pomnik ten powstał po *Sachsenspiegeln*, ponieważ ten pozwala tylko margrabiom wyrokować z własnego ramienia, a przed *Schwabenspiegeln*, bo wtędy prawo to przysługiwało margrabiom i wszystkim książętom świeckim. Pomnik nasz spisany więc został na przejściu pomiędzy jednym a drugim *Spiegeln*, a więc pomiędzy rokiem 1230 a 1270. (Zobacz *Kritische Vierteljahresschrift für Gesetzgebung*, tom XII, str. 118—123).

Szczegół ten zatem nie tylko potwierdza rezultat badań Helcla ale go nawet ściślej określa.

Rozpisałiśmy się tak obszernie i szczegółowo o pierwszej części drugiego tomu Starodawnych Pomników, że nam teraz ani czasu ani miejsca nie starczy na szczegółowe ocenienie drugiej o wiele obszerniejszej części zawierającej wypiski z aktów sądowych krakowskich z lat 1394—1507. Ograniczamy się więc do paru pobieżnych słów. Ważność materiału w tej części podanego dla dziejów naszych politycznych, społecznych, stosunków wewnętrznych, prawnych, heraldycznych jest tak ogromna, że nikt nawet przecenić jej nie potrafi. Wykazywać atoli nowe szczegóły, o których pod różnymi względami z niej się dowiadujemy, nie może być zadaniem recenzenta, boby na to nie wystarczyło sprawozdanie zajmujące kilkanaście stronic, lecz potrzebaby dzieła zajmującego pewno więcej jak jeden tom obszerny. Zaznaczamy więc tylko, że cały ten ogromny przeszło 100 arkuszy

zajmujący materiał, jest wydany z tą samą sumiennością, znajomością rzeczy, poprawnością i starannością, która cechuje wszystkie inne tego rodzaju publikacje znakomitego naszego badacza. Nie możemy się tylko powstrzymać od wyrażenia żalu naszego, że niestety nie starczyło mu już życia, aby wygotować jeszcze zapowiedziane na wstępie rejestra, któreby dla każdego badacza dziejów i prawa naszego były nieocenionemi wskazówkami do zużytkowania tego olbrzymiego materiału. Czyżby może familia śp. Z. A. Helcla, tak skłonna do ofiar, nie postarała się o kogo, któryby pracę śp. Zygmunta Antoniego uzupełnił jeszcze tą częścią, której on już do skutku doprowadzić nie mógł? Uzupełnienie takie nie wypadłoby pewnie tak świetnie, jakby go był dokonał sam nieodżałowanej pamięci wydawca, my jednak przyjelibyśmy z wdzięcznością i mniej znakomite dokończenie. Ile pracy, trudu i mozół tkwi zresztą w tem ostatniem dziele Helcla, o tem nie tylko ten sądzić może, który kiedy miał do czynienia z najdawniejszemi naszymi księgami sądów grodzkich i ziemskich, lecz nawet i ten, który choć odczyta wstęp dołączony do tej drugiej części ostatniego tomu zasłużonego naszego pracownika.

Każdy zaś, kto choć pobieżnie przejrzy tę olbrzymią pracę, przyzna nam niewątpliwie, że przez śmierć śp. Antoniego Zygmunta literatura nasza poniosła niepowetowaną stratę, stratę badacza ogromnej nauki, ogromnego uzdolnienia i niezmordowanej pracowitości, badacza, który całą swą wiedzę, wszelkie swe siły, bez względu na stargane swe zdrowie, poświęcał nieustannie krajowi. Cześć jego pamięci, *sit ei terra levis!*

X.

CODEx DIPLOMATICUS

UNIVERSITATIS STUDII GENERALIS CRACOVIENSIS

CONTINET PRIVILEGIA, DOCUMENTA,

QUAE RES GESTAS ACADEMIAE EJUSQUE BENEFICIAE ILLUSTRANT.

PARS PRIMA 1365—1440

(Kraków, nakładem uniwersytetu, 1870, 4to, XIV i 227 str.)

Z korzyścią dla nauki mnożą się u nas kodeksy dyplomatyczne, z których dziejopisarstwo nasze czerpać będzie nie tylko ściślejsze daty, ale i nieraz ważne szczegóły, czy to do stosunków wewnętrznych, czy do zwyczajów, praw, ustaw i t. d. Rozumie się, że my bynajmniej się nie liczymy do owego oplakanego, dzięki Bogu, bardzo szczupłego grona pismaków, którzy w takim kodeksie nie widzą nic prócz „podrzędnych sprzedaży wiosek, kontraktów i t. p.“ Owszem nie chcielibyśmy przeceniać ważności tych kodeksów, a jednak twierdzimy, że dopiero kiedy liczba ich znacznie się powiększy, będziemy mogli zrozumieć wewnętrzne dzieje nasze w epoce wieków średnich, poznać nasze instytucje, prawa, zwyczaje i ustawy, sprawdzić daty, ułożyć, nieraz tak ważne, dokładne spisy urzędników koronnych, prowincjonalnych,

powiatowych, oznaczyć ściśle miejsca pobytu dworu królewskiego. Z radością więc witamy myśl powziętą przez senat uniwersytetu jagiellońskiego: myśl wydania kodeksu dyplomatycznego dotyczącego dziejów tej najdawniejszej wszechnicy naszej, owej prababki naszej oświaty i nauki. Wykonanie tej myśli, przynajmniej co do pierwszego tomu, który mamy przed sobą, polecił senat osobistości jak najzupełniej odpowiedniej p. Żegocie Pauliemu, zasłużonemu szperaczowi w starodawnych naszych zabytkach.

Wspaniała część pierwsza, świeżo dopiero wydana, obejmująca lata 1365—1440, zawiera 104, po największej części podług oryginałów wydanych przywilejów, zaczynających się od fundacyjnego dyplomu Kazimierza W. a poprzedzonych krótką przemową rektora prof. Skobla. Po samych dyplomatach następuje spis rektorów uniwersytetu krakowskiego od r. 1400 do 1440, potem spis treści a wreszcie bardzo staranny i ze znajomością rzeczy ułożony *Indeks*, nieoceniona pomoc dla każdego, ktoby z dyplomaturyusza korzystać zamierzał. Treść dyptomatów odnosi się w głównej części do historii uniwersytetu jagiellońskiego, jego dóbr i beneficyj, jego założenia, odnowienia i powiększenia. Nie naszą rzeczą zdawać obszernie sprawę z tej treści, bo nie sprawozdanie tutaj piszemy, lecz ocenę wydawnictwa. Możemy się więc pod tym względem ograniczyć do wzmianki, że pomieszczone tutaj dokumenta ze wszech miar zasługiwały na ogłoszenie a te, które już gdzie indziej poprzednio były drukowane, na wciągnięcie ich dla całości do dyplomaturyusza. Nam zaś tutaj głównie chodzi o to, aby wykazać, czy wydawca umiejętnie się wziął do rzeczy, czy odpowiedział wymaganiom, jakie mamy prawo stawiać ze stanowiska dzisiejszej nauki do edytora starych dyptomatów. Z przyjemnością możemy więc z góry oświadczyć, że wydanie p. Żegoty Pauliego uważamy za wcale poprawne, jeżeli zaś w dalszym ciągu tej oceny się pokaże, że w niektórych względach nie zgadzamy się z szanownym wydawcą i że nawet wykazać mu możemy kilka omyłek i usterek, to zastrzegamy się z góry, że ani jedno, ani drugie nie pozbawia wydawnictwa epitetu poprawności, bo pomiędzy wszystkimi dyplomaturyuszami tak naszymi jak obcymi nie ma pewnie jednego, w którymby nie można odkryć przynajmniej takiej samej ilości pomyłek, a zapatrywania na metodę wydawnictwa mogą być i są rzeczywiście różne, dotąd tylko w głównych zarysach w nauce ustalone.

Nasamprzód więc przerzucając dyplomaturyusz krakowski spostrzeżliśmy z przyjemnością, że szanowny wydawca wyrzucił z niego literę *j*, drukując zamiast niej wszędzie *i*. Wiadomo że rozróżnienie litery *i* od *j* u nas datuje się dopiero od XVIII wieku; w czasie kiedy dyplomata w dziele tem umieszczone pisano, litery *j* wcale jeszcze nie znano, a jeżeli w starych dyplomatach napotykałyśmy czasami i przeciągnięte pod linią, to w tem widzieć tylko możemy nawyknięcie kaligraficzne, którego w druku uwzględniać nie należy, bo jeżeli, jak się to często w dyplomaturyuszach naszych dzieje, zamiast tego pod linią przeciągniętego *i* wydrukujemy *j*, to gotów kto z tego wyciągnąć wniosek, że w wieku XIV lub XV już u nas znano i używano litery *j*.

Jeżeli więc wyrzucenie litery *j* z tekstu dyplomatarjusza p. Ż. Pauliego wielce nas ucieszyło, to z drugiej strony nie rozumiemy, dla czego szanow. wydawca chwalebnej tej zasady swojej nie przeprowadził konsekwentnie, na str. 6 bowiem czytamy *Thartarj* zamiast *Thartari*, na str. 37 *Switrigajjlo* zamiast *Switrigajilo* lub *Switrigaylo*, a na str. 120 *Donijn* zamiast *Doniin* lub *Donyn*.

Dalej zmodernizował szan. wydawca używanie liter *u* i *v* (używanych w owym czasie bez wszelkiej konsekwencji), zaprowadził poprawną interpunkcją, uregulował używanie wielkich początkowych liter, na wszystko to zgadzamy się jak najzupełniej. Nie mamy także nie przeciwko temu, żeby używać liter *c* i *t* według dzisiejszych regul, jak to czyni wydawca w wyrazach takich jak *presentium*, *donatione* i t. p., lecz nie aprobujemy bynajmniej wprowadzonego przez wydawcę *ae* zamiast *e*. Nam się zdaje, że modernizowanie takie jest za daleko posunięte. Jeżeli bowiem liter *u* i *v*, *c* i *t* używa się w XIV i XV wieku bez wszelkiej ścisłości, po prostu podług widzimisię pisarza, to powiedzieć tego nie możemy o zgłosce *ae*. Zgłoska ta wówczas w dyplomatach naszych wcale nie istnieje, nie pisze się nigdy *Poloniae*, lecz zawsze *Polonie*, nigdy *haeres*, lecz zawsze *heres* i t. d. Jeżeli więc pisarze ówczesni konsekwentnie tej regule się trzymają, dla czego my, drukując ich utwory, mamy od niej odstępować? Czas w którym *u* nas powstaje najprzód *g*, potem *æ* a wreszcie dopiero *ae* da się dość ściśle oznaczyć, tak że zachodzenie jednego z tych trzech znaków lub też zamiast nich czystego *e* posłużyć nawet może czasem za pewne kryterium autentyczności, zdaniem naszym więc chętki modernizowania do tego stopnia posuwać pod żadnym warunkiem nie należy. Lecz i tej zasady, przez nas nie aprobowanej, wydawca nie przeprowadził konsekwentnie, jeżeli bowiem drukuje *Russiae*, *Poloniae*, *Piotrcoviae*, czemu nie drukuje (str. 13) *Zaclicae*, lecz *Zaclice*? W ogóle byłibyśmy sobie życzyli, żeby szan. wydawca na wstępie był wypowiedział choć parę słów o tem, jakich się zasad przy wydawaniu dyptomatów tych trzymał, tak bowiem musimy wertując dyplomatarjusz jego, sami sobie zasady te konstruować.

Tyle co do pisowni i interpunkcji zachowanej przez wydawcę. Co do treści wydaje się nam tekst wcale poprawnym, o ile sąd taki wypowiedzieć można, nie porównawszy oddruków z samymi oryginałami. Lecz i tu nie pochwalamy metody, jakiej się wydawca trzymał w tych miejscach, w których dla uszkodzenia pergaminu tekstu odczytać nie było można. Szcześnieściem dyplomata w archiwum uniwersyteckiem były prawie bez wyjątku bardzo dobrze zachowane, uszkodzone miejsca napotykały więc tylko w dwóch dokumentach (str. 10, 11 i 201). We wszystkich tych ogranicza się wydawca na położeniu paru kropek, nie dodając ze swej strony ani słowa, ilu tu w przybliżeniu brakuje wyrazów lub liter. Nie kładzie wprawdzie wydawca zawsze tej samej ilości punktów (jak to zwykł czynić w publikacjach swych ks. Tad. Lubomirski), ale mimo to nie wiemy, czy oznaczone punktami miejsca zgadza się co do swej objętości z objętością Juki oryginału, lub też, czy wydawca przez nie chciał oznaczyć ob-

jętość miejsca, jakieby opuszczone litery lub wyrazy zajęły w oddruku. Zdaniem naszym należało w każdym takim miejscu dodać uwagę ilu tutaj prawdopodobnie brakuje wyrazów lub jeżeli można liter. Wtedyby korzystający z dyplomatarjusza mógł łatwo robić ze swej strony kombinacye a nawet może czasem uzupełnić trafnie uszkodzone miejsca. Dalej załował wydawca w tekście tak niezbędnego nieraz (*sic*), i tak na str. 13 czytamy: *Actum Potrcoviae*, może być, że tak stoi rzeczywiście w oryginale, lecz w takim razie koniecznie należało po tym wyrazie położyć (*sic*) lub na str. 29 *Zauichwostensi*, i po tym wyrazie należało, jeżeli się znajduje w oryginale, położyć (*sic*). W ogóle w całym tym dyplomatarjuszu podano nam właściwie tylko poprawny oddruk tekstu bez żadnej ze strony wydawcy uwagi. W całym tomie znajdujemy jedynie na str. 14 jedną króciutką notę. Zdaniem naszym zaś, obowiązkiem jest wydawcy dyplomatarjuszków lokalnych podawać objaśnienia miejscowości i jeżeli być może czasami także osób. W dyplomatarjuszu tym zachodzi się dużo nazw miasteczek, wsi i innych miejscowości, o których wydawca znajdując się w okolicy, w której miejscowości te leżą, mógł podać z łatwością dokładne objaśnienia. Ten zaś, który będzie chciał korzystać z dyplomatarjusza a nie mieszka w tych stronach lub nawet po za granicami Polski, będzie wystawiony nieraz na nieprzewyciężone trudności, jeżeli mu będzie zależało na tem, aby dojść do dzisiejszej nazwy tych miejscowości lub dociec, w których stronach one leżą. Jakże wzorowo i pod tym względem wydana jest pierwsza część pierwszego tomu dyplomatarjusza warszawskiego, opracowana przez nieodżałowanej pamięci Z. A. Helcla?

Dolączone przez wydawcę krótkie opisy samych oryginałów lub kopij, z których dyplomata te drukował, jako i pieczęci u nich zawieszonych, są dokonane starannie i ze znajomością rzeczy. Ale i tu musimy zrobić wydawcy ten zarzut, że pominął zupełnie odwrotną stronę pergaminu (z wyjątkiem jedynie Nr. 50), na której nieraz, jak wiadomo, znajdują się wcale cenne zapiski, wyjaśniające często późniejszą historią miejscowości lub osoby, których dyplom dotyczy.

Najwięcej niedokładności i pomyłek zaś napotykamy w dziale rozwiązania dat. Jest to uznana przez naukę zasada, że wydawca starych dyplomatów powinien w nagłówku lub w parantezie w tekście rozwiązać średniowieczną datę, zredukować ją do dzisiejszego naszego oznaczenia. Pan Żegota Pauli wiedział o tem i do wymogi tej się zastosował, lecz i tu znów nie zupełnie konsekwentnie, bo czemuż pozostawił datowania na str. 22, 23, 63 i 108 bez rozwiązania? Resztę dat rozwiązano, lecz nie zawsze szczęśliwie, nie zawsze z uwzględnieniem trudności, jakie w miejscu tem zachodzą. Wyszczególnimy tu wszystkie te sporne miejsca.

Na str. 49 (Nr. XXVII) czytamy: *Iudicium fuit bannitum feria quarta in die Sanctae Dorotheae*, wydawca datę tę rozwiązuje: 6 lutego; rzeczywiście św. Doroty obchodzi się 6 lutego, ale 6 lutego w r. 1403 nie przypadał na środę, lecz na wtorek; jak sprzeczność

tę wytłómaczyć? Czyż nie było obowiązkiem wydawcy przynajmniej zwrócić na nią uwagę?

Na str. 59 (Nr. XXXIII) rozwiązuje wydawca datę: *feria secunda post dominicam Exurge* przez 3 lutego. Nie prawda, bo r. 1404 był rokiem przestępnym a poniedziałek po *Exurge* przypadał na 4 lutego.

Na str. 115 (Nr. LIX) rozwiązuje wydawca datę: *feria tertia in crastino Nativitatis S. Mariae*, przez 9 września. Rzeczywiście Narodzenie Najśw. Panny Maryi obchodzi się 8 września, dzień po niem zatem przypadał na 9 września, lecz w r. 1416 dzień 8 września przypadł na wtorek, dzień 9 września więc na środę, a w dokumencie powiedziano *feria tertia*; i na tę sprzeczność wydawca uwagi swej wcale nie zwrócił, a jednak, zdaniem naszym, było to jego obowiązkiem.

Na str. 168 (Nr. LXXXVI) zachodzi data: *feria sexta proxima post Octavas Corporis Christi*. Datę tę rozwiązuje wydawca zupełnie niewłaściwie: 1 czerwca zamiast 8 czerwca. W roku 1431 bowiem święto Bożego Ciała przypadało na 31 maja, oktawa jego zatem na 7 czerwca a piątek po oktawie na 8 czerwca.

Na str. 173 (Nr. LXXXVIII) czytamy datę: *die Mercurii sexta decima mensis Octobris*, w roku 1432 atoli 16 października przydał na czwartek a nie na środę. Wydawca był powinien zanotować tę sprzeczność.

Na str. 185 (Nr. XCIV) znajduje się datę: *feria secunda in Octava Sancti Stanislai*, co znaczy w poniedziałek w oktawie świętego Stanisława a więc w r. 1434 dnia 10 maja a nie 14 maja jak rozwiązał wydawca.

Na str. 186 (Nr. XCVI) czytamy: *feria sexta proxima post dominicam Invocavit*, co znaczy w piątek po niedzieli *Invocavit* czyli w r. 1436 dnia 2 marca a nie, jak wydawca rozwiązuje, 19 lutego.

Wreszcie ponieważ dokumenta w dyplomaturyuszu uporządkowane są chronologicznie, Nr. XXVII stać powinien przed Nr. XXVI, bo Nr. XXVII jest z lutego a Nr. XXVI z marca 1403 r.

Zanim przejdziemy do innych szczegółów, jeszcze jedna wzmianka chronologiczna. W dokum. Nr. XXXI opuszczono w oryginale rok, kładąc tylko dzień; wydawca w nagłówku uzupełnił datę, dodając rok 1403; być może, że uzupełnienie to jest trafnem, w każdym razie atoli zdaniem naszym był powinien wydawca powiedzieć, na jakiej podstawie dodał właśnie ten a nie inny rok, bez tego bowiem uzupełnienie wydaje się dowolnem.

Tyle mielibyśmy do zarzucenia chronologii, teraz przechodzimy do innych szczegółów.

Bardzo słusznie drukował wydawca tak zwaną relacją w oddzielnych krótszych wierszach poniżej samego tekstu, tak jak się to regularnie znajduje w samych oryginałach. Dla czego więc i w tem nie trzymał się konsekwentnie tej samej zasady, lecz przy dokumencie Nr. LXIV (str. 123) wydrukował relacją nie oddzielając jej od tekstu, czyby tak miało stać w oryginale, wątpliwe. Jeżeli jednak tak było, należało to wyraźnie nadmienić, bo byłby to wyjątek od stałej zresztą

reguły. Z relacji podanych w dyplomatarjuszu krakowskim ciekawe są zresztą dwie przy Nr. LXII i LXIV. Zwykle w relacji widzimy wymienionych kanclerzy, biskupów, sekretarzy lub którego ze świeckich dygnitarzy państwa, tutaj zaś czytamy: *Ad relationem Serenissimae Principis dominae Elizabeth Dei gratia Reginae Poloniae*: my przynajmniej po pierwszy raz spotykamy królowę, jako referującą o jakiej sprawie.

W obec okazałości i wspaniałości tego wydania i wysokiej ceny, jaką na nie naznaczono, (6 zlr. w. a.) zadziwiło nas, że znaków notaryackich nie podano w drzeworycie lub litografii, lecz zastąpiono je literami L. S. n. Kiedy się drukuje dzieło tak wytwornie, na tak pięknym papierze, tak pięknymi czcionkami, to można było umieścić także te 16 znaków notaryackich, które się w dyplomatach tych znajdują a które pod pewnym względem nie są zupełnie pozbawione ważności. Znacznych kosztów nie byłoby to pociągnęło za sobą.

Kończąc te uwagi nasze, pozwalamy sobie jeszcze wymienić parę drobniejszych omyłek, o ile się zdaje, drukarskich.

Na str. 64 w wierszu 4 od dołu wydrukowano *Scolastiao* zamiast *Scolastico*; na str. 87 w wierszu 4 w nagłówku wydrukowano *Iuli* zamiast *Julii*; na str. 199 w wierszu 2 od dołu wydrukowano *suac t contra* zamiast *sua et contra*.

Na tem kończymy ocenę naszą w tej nadziei, że szan. wydawca zechce ją przyjąć z taką życzliwością dla nas, jak my ją wypowiadamy dla niego. My bowiem bynajmniej nie mieliśmy zamiaru uszczuplać zasługi jego, chcieliśmy tylko z całą szczerością i otwartością wypowiedzieć zdanie nasze, wykazując tak strony jasne jak i małe plamki, których przecież nie brak nawet na słońcu.

DWOR I PLEBANIA.

Gdybyśmy mieli pióro autora „Obrazów Litewskich“, lub którego z narratorów naszych tradycyji narodowych, gdybyśmy mieli w rękę lutnię po naszym pocię-moralistcie Stefanie Witwickim, lub pędzel malarza co wnikał duszą w tajniki piękna naszego sielskiego pejzażu tak odpowiadającego charakterowi naszego społeczeństwa—tobyśmy odmalowali obrazek prosty, ale zrozumiały każdemu, kto tylko wzrósł na wsi polskiej, komu obczyzna lub niewiara nie wysuszyła serca na wrażenia młodości. Odmalowalibyśmy biały dworek na pagórku, otoczony gajami i sadem, z którego aleją grabowa wiedzie do kościółka wiejskiego, otoczonego również wiankiem grabów lub lip. W koło kościoła tulą się wszędzie chaty włościan, a w pośrodku stoi domek rozniarem i zewnętrznym kształ-

tem stanowiący przejście, stopniowanie pomiędzy owym dworem szlacheckim a chatą włościanina. Wśród tego pejzażu rozsunęlibyśmy po ścieżkach wijących się ku kościołowi gromadki biało przybranych włościan i wieśniaczek otulonych w kraciaste chusty, rozsypalibyśmy gromadki dziatwy wiejskiej spieszącej się do kościółka na wezwanie dzwonów, jakieś melodyjne jęki rozbrzmiewających w powietrze. Na alei wiodącej z dworu, umieścilibyśmy postać, w siwej kapocie dziedzica, otoczonego gronem rodziny i witającego poważnie zbierających się włościan. Umieścilibyśmy postać plebana na progu kościoła. A obraz taki komużby nie wywołał najdroższych wspomnień, kogóż nie przeniósłby myślą tam, gdzie otrzymał chrzest święty — gdzie na zielonej darni cmentarza bielegą groby jego przodków, tam, gdzie najpierwej przystępował do św. Sakramentów, gdzie się bratał w dziecięcych zabawach z ludem, gdzie z przejściem słuchał słowa Bożego, gdzie go matka uczyła pacierza, a proboszcz katechizmu, gdzie najpierw i najsilniej poczuł miłość rodzinnej ziemi i gdzie najczyściej dusza jego wyrwywająca się z powić dziecinnego wieku wznosiła się do Boga.

Lecz dziś, w obec spieki życia zatruwającej nawet wspomnienie, wyschły farby na paletrze narratorów, dziś słowo nasze traci potęgę pędzla a przybrać musi ostrze miecza, dziś sroga rzeczywistość rozprasza sny młodości, zaciera pogodę najczystszych obrazów a przesuwa takie widoki, że na ich oddanie potrzeba albo tragicznego pędzla Grottgera, albo ołówka złośliwego karykaturzysty.

Co się w ogóle stało z naszym pejzażem dworu i plebanii, gdzie on zachował pierwotną pogodę duchową, jaką przyświecał przez długowieczną tradycję obyczajów narodowych!

Oglądaliśmy niedawno obrazek Cypryana Norwida, którego muza malarska jak i poetycka obok pewnej szorstkości i dziwactwa ma niezaprzeczoną głębołość. Obrazek przedstawiał parafię na Litwie. Kościółek zrabowany z powalonym i złamanym krzyżem, a przed nim zgłiszcza plebanii. Pusto, ponuro w około, jakąś tragicznością przemawia natura. Oto obraz parafii litewskiej, który w myśli łatwo uzupełnić zgłiszczami dworu a nie rzadko i całego siola. Proboszcz porwany w głąb Rossyi, we dworze nowy dziedzic, co wywłaszczył szlacheica, przez kilka generacyj utrzymującego tradycję katolicką i polską — opodał buduje się cerkiew wspaniała. Co się dzieje z ludem, jak długo wiarę zdoła on przechować i obronić ją bez kapłanów, bez biskupów, bez pana we

dworze, dobroczynnej pani i pobożnych przykładów ich rodziny? Jak długo jeszcze do tego kościółka pod zasłoną nocy spieszyć będzie na modlitwę i szukać gdzieś w ukryciu kapłana katolickiego, jak długo nie przekroczy on progów tej pięknej, świecącej cerkwi schyzmatyckiej, gdzie go gwałtem pędzą? Kiedyż doczeka się ten lud odbudowania kościółka, powrotu księdza, powrotu dziedzica? Kiedyż znowu w całość złoży się ta mała społeczność wioski, zjednoczona duchowym węzłem wiary, wzajemnością stosunków chrześcijańskich, dworu, plebanii i gromady. A jednak ta społeczność, z trzech tych czynników złożona, była podstawą wszystkiego, co u nas duchowo stało, ona jedna mogła być silną podwaliną tego, co z narodu naszego zbudować można było.

Sojusz dworu z plebanią, to najszczytniejsza idea moralno-socjalna, która w czasach poddaństwa łagodziła tego stosunku następstwa, która utrzymywała moralną równowagę w społeczeństwie przez skojarzenie sumień chrześcijańskich wspólnem kierownictwem duchownem. We wsi polskiej pleban spełniał przez całe wieki to samo zadanie, jakie w wiekach średnich w całym feudalnym świecie, biskupi i papieże spełniali w obec królów chrześcijańskich. Dzięki głębokiej pobożności i karności obyczajów pleban w obec dziedzica rzadko kiedy wypełnić musiał twardy obowiązek Stanisława Szczepanowskiego gromiącego występki, ale częściej mu przypadało zadanie i stanowisko, jakie miał Zbigniew Oleśnicki w obec Jagiełły, z tą jednak różnicą, że klejnot szlachecki a choćby nawet dostojęństwo senatorskie nie wynosiło dziedzica po nad plebana, tak jak majestat króla stawiał ostatniego po nad biskupa, ale że właśnie pleban miał pierwsze miejsce nie tylko w kościele, ale w całej parafii i przy stole we dworze, i w gronie rodziny dziedzica, i w gronie rodziny chrześcijańskiej zwanej parafią. Jego słowo było dla wszystkich najwyższą powagą, jego naponnienie było częstokroć wyrokiem, jego błogosławieństwo talizmanem, w jaki zaopatrywał się rycerz, ukorzywszy się w Sakramencie pokuty, zanim wyciągnął w pole na pohańców; jakim zaopatrywał syna, gdy go wysyłał w świat po nauki lub zasługę. Żadnego w rodzinie nie powzięto postanowienia bez zasięgnięcia rady proboszcza, a jego wstawienie, jego przestroga nie dozwalała, aby się nadużycia szerzyły i osłaniała lud od krzywdy wszelakiej. Wszystko trzymane jeszcze było w korbach chrześcijańskiej moralności przez tę właśnie przewagę duchową kapłanów. Buńczuczna szlachta, dumne pany, zarówno skore do najazdów, pieniąctwa, nieustępujące nikomu z drogi,

w obec jednego słowa plebana miękli jak baranki. Ztąd też było w dawnej Polsce więcej nadużyć wolności politycznej, niż socyalnej, więcej swarów, a nierzadko gwałtów między szlachtą, niż nadużyć w obec ludu, bo tam z równymi i uprzywilejowanymi toczyła się walka na podstawie tych wolności politycznych — a tutaj stała rozjemcza postać kapłana i powstrzymywała od wywierania ucisku w granicach parafii.

Nie twierdzimy, aby zgoła nie było nadużyć i ucisku, ale wiadomo, że wyjątki reguły nie stanowią — a skargi na ucisk ludu na Ukrainie świadczą właśnie, że tam, gdzie nie było jedności wiary z ludem, tam się dopełniały gwałty. Zresztą szerzące się nowinki i reformacja zerwała w wielu okolicach ten pierwotny stosunek dworu do plebanii, jakkolwiek mamy liczne przykłady i dowody, że tradycya obyczajowa narodu, była silniejszą nad różność wyznania — i że gdy chwila pierwszej zawziętości sekciarskiej minęła, dziedzice kalwińskiego wyznania umieli miejscami utrzymać dobry stosunek z plebanią katolicką.

Tak bywało ongi — jakżeż dziś jest, tam gdzie piebania i dwór stoją cało, gdzie niedosięła pożoga schyzmatycka, gdzie kościół wrzekomej używa wolności, gdzie dwór nieopuszczony przez wygnanego dziedzica, a z plebanii nie porwany w mroźne Sybiry kapłan? Czy sojusz ostał się dawny, czy na tych samych podstawach moralnych idei katolickiej?

Wiele i wieleby było o tem do mówienia, wiele zaszło zmian we dworze i w plebanii, a choć biorąc przeciętnie stosunek tu zwykłe przyjazny a nie rzadko serdeczny, nie zawsze jednak na tej oparty podstawie, jaka mu niegdyś służyła, jaka jedynie może przynieść z sojuszu tego pożytek moralny dla całej otaczającej społeczności.

O tem też właśnie niedawno, odwiedzając plebana mej rodzinnej parafii, plebana, który mię chrzczył, patrzył na mój wzrost, do pierwszej przygotowywał spowiedzi, rozmawialiśmy długo z nim na małym ganeczku wiejskiej plebanii... Cichy to i spokojny kapłan, beneficjum jego nie intratne, dotacya bowiem nie dochodzi do tak zwanej kongruy, to jest nie przechodzi 400 złr., jura stolae nie wiele powiększają ten dochód, bo proboszcz tyle tylko bierze od swych parafian, ile oni mu z własnej woli ofiarują, nie rzadko podejmując sam koszta pogrzebu i opatrując jeszcze potrzeby osieroconej rodziny. To też zawsze pustki w kieszeniach proboszcza, ale zwykł on też mawiać, że księża na parafii... żyją długo, bo

skromne utrzymanie najlepiej konserwuje ich zdrowie. Odkąd otrzymał beneficjum, wyjechał i to nie dobrowolnie raz do Lwowa; powróciwszy do swych parafian, aby powolnem działaniem zatrzeć w ich sumieniach ślady zbrodni, nie wyruszył od lat dwudziestu kilku z miejsca, okrom pobliskich odpustów i dwa razy na rok wyjazdu do Tarnowa dla załatwienia interesów.

Między plebanią a dworem w N., mimo zmienionych kolatorów miejscowych, niezmiennie dobry i ścisły zachowuje się stosunek. Ztąd też podczas odwiedzin dawnego plebana wszczęła się pogadanka o stosunkach plebanii do dworu w ogóle; i rzecz szczególna, że w tym przeglądzie wzajemnych stosunków, ksiądz podnosił oskarżenia na duchowieństwo, kollator, jak mnie przez samo nawykniecie zwykł nazywać proboszcz, czynił zarzuty dworom.

Plebanią — mówił proboszcz — zamienił rząd w urząd parafialny, na drzwiach naszego mieszkania kazał przybić tablicę z napisem „Pfarramt“, zarzucił nas mnóstwem urzędowych czynności, kazał korespondować z wszystkimi władzami, odpowiadać na zapytania, przysyłać rubryce i wykazy statystyczne, zgola józefinizm z duchowieństwa starał się wytworzyć gałąź biurokracyi. Wpłynąć to musiało niekorzystnie na pojęcie zadania plebana na wsi. W znacznej części stawaliśmy się stopniowo urzędnikami i bardziej baczyliśmy na dopełnienie systematyczne wszystkich tych formalności biurokratycznych, niżeli na działanie duchowne, na pracę żywem słowem i ciągłem obcowaniem z parafianami w tej małej winnicy pańskiej. Ta szkoła józefińska, jakąśmy przebywali, choć wyjątkowo nie osiągała swym wpływem przekonań, zasad i wiary samej, to jednak ziębiła naszą kapłańską gorliwość, czyniła nas zbyt oględnymi i trwożliwymi, jakbyśmy rzeczywiście należeli do hierarchii urzędniczej. Byli i tacy, którzy przestali uważać tę nazwę urzędu parafialnego za ubliżenie świętości naszego posłannictwa, ale owszem zaczęły znachodzić jakąś chlubę i zamięłowanie w tym niejako czynie biurokratycznym. Ztąd wyrodziło się pewne oddzielanie się od świeckich stanu duchownego, wyrabiała się powoli w pewnych okolicach jakoby kasta księży, nie nie mająca wspólnego z tak zwanym przez liberałów duchem klerikalnym, ale pokrewna kastom biurokratycznym. Oziębiało też to stopniowo stosunek plebanii do dworu, gdzie nie rzadko nowe zaczęły się szerzyć wyobrażenia, zaczęliśmy żyć w odosobnieniu lub utrzymywaliśmy stosunki na podstawie, że tak powiem, kompromisu opinii. Ksiądz już przestał być, jak dawniej, członkiem rodziny kollatora, rodziny moralnej, która na całą

rozciągała się parafię i łączyła w jedności religijnej całą społeczność wiejską; on w wielu miejscach przestawał być tem zwierciadłem sumienia, w którem każdy widzi tylko swoje odbicie, przestawał być tem ogniwem duchowem dworu z gromadą, ale stawał się niejako reprezentantem osobnego stanu, oddzielającego się poniekąd i o którego materyalnych interesach więcej częstokroć obie pamiętały strony, niż o duchowem i religijnem jego posłannictwie. Jego też sądzono a nie siebie w nim.

Przerwałem proboszczowi uwagę, że zbyt jednostronnie formułuje swoje zarzuty. Niewątpliwie, że najwięcej złego narobił józefinizm i zwichnął ten związek tak religią jak i tradycją przekazany. Ale czy okrom owej urzędowości i kastowości nie było innych przyczyn oziębienia? Czy wzajemność tego stosunku nie wywierała szkodliwego wpływu na duchowieństwo? Ileż to razy — wyznać to muszę, słyszałem ze zgrozą uzalania się kollatorów na plebanów, o to, że rozszerzają towarzystwo wstrzemięźliwości i przez to podkopują dochody z propinacyi. Nie pytam wierzącego, nie pytam tego kto pojmuje szczytne posłannictwo kapłana katolickiego, nie pytam moralisty, ale zapytuję ekonomisty, człowieka rachunku, z praktycznych tylko względów oceniającego społeczność, co powie na tego rodzaju skargi, jak sądzi nie tylko o poczuciu moralnem, ale o zrozumieniu własnego interesu takich ludzi, którzy się żalą, że jest ktoś, kto lud powstrzymuje od pijaństwa, od tego głównego nałogu ludu, z którego wszystko złe w zakresie moralnym i materyalnym płynie. A jednak skargi te na szerzenie towarzystwa wstrzemięźliwości nie rzadko dawały się słyszeć, bo to jednak propinacya to najwygodniejszy dochód, niewymagający nakładu.

Jakiż stosunek utrzymać się tam mógł między plebanią a dworem, gdzie równoważyła sprawę moralności ludu kwestya propinacyjna.

Byłem raz świadkiem, jak w pewnym domu mającym wpływ i znaczenie w okolicy, witano nowo przybyłego wikarego. Nie powitano go tam jakimś słowem zachęty do pracy duchownej, ale pierwsze pytanie, jakie mu zadano, było: czy umie grać w prefersansa — i na potwierdzającą odpowiedź dodano: księżę, zbijaj kabzę, abyś mógł na czwartego zasiadać do stolika.

Takie pojęcie stosunku dworu do plebanii mogło tylko najniekorzystniejszy wywierać wpływ, i lepiej zaiste, aby stosunek ten wcale nie istniał, niżli aby przezeń wdzierało się lekceważenie posłannictwa kapłańskiego i lekkomyślność zwykłych naszych stosun-

ków towarzyskich, w których tak mało już się ostało dawnej grozy obyczajowej, dawnej powagi i szacunku siebie samych, a jedynem hasłem zabawa i używanie.

Gdyby to tylko takie pokusy i takie lekceważenie obowiązków wypływało z tego źródła — odrzekł mi smutnie proboszcz — to właśnie obowiązkiem księdza byłoby stopniowo przeciwko tej lekkomyślności wiodącej do upadku rozbitki naszej szlachty, niepomnej dawnych cnót, oddziaływać, on sam jako kapłan lekkomyślnie rzucone słowo powinien lekko puścić mimo siebie — ale gdy zgorzenie miasto przykładu szerzy się w około ze dworu, jakżeż może proboszcz dobre stosunki utrzymać ze dworem, gdy ławka kollatorska w kościele stoi podczas nabożeństwa próżna, gdy tylko kobiety przychodzą na mszę. Mój sąsiedni pleban ma kollatora zapalonego myśliwego, nie ukazuje on się w kościele, ale podczas nabożeństwa w święta i niedziele słyhać strzały i ujadanie psów goniących zające. Jakąż wagę będą miały nauki księdza w obec ludu, jeżeli dla kollatora tylko będzie on pobłażliwym i mimo jawnego zgorzenia zachowa z nim ścisły stosunek.

Panie — dodał pleban — jest u nas rzecz dziwna, rzadkością w Polsce jest zupełna niewiara, ale mędrkowanie jest powszechne; religijność tkwi na dnie duszy, wzbudzi się w chwili stanowczej życia ta iskra tlejąca, którą matka niegdyś w sercu niemowlęcia wznieciła, ale zasad religijnych nam brakuje, zmieniają się one z opiniami politycznymi, z modą, z jakimś dziennikiem nowym lub powiewem chwili. Ilez to biedny kapłan musi się nasłuchiwać nieraz niedorzeczności, herezyj a nawet i bluźnierstw za stołem kollatora, a znając dno jego sumienia, wie dobrze, że te słowa rażące uczucie religijne nie z głębi duszy pochodzą, że szczerą jest ta restrykcya „ja jestem katolikiem“ choć po niej zaraz następuje „ale“ pełne niedorzeczności „ale nie papistą, nie ultramontaninem“. Czujesz, że to „ale“ ma pogodzić zamęt pojęć nielocznie powikłanych z głębią wiary. Gdyby ci chodziło tylko o rezonowanie, o zrozumienie się, wołałbyś może, aby twój przeciwnik wyrzucił swą restrykcyę „jestem katolikiem“, abyś miał do czynienia z świadomym siebie racjonalistą, ale znając oponenta, wiesz, że do ładu jego myśli doprowadzić trudno i szanujesz tę restrykcyę „ja jestem katolikiem“, bo spodziewać się zawsze możesz, iż opinie się zmieniają, a z tej iskry tlejącej w popiele jeszcze się wznieci święty ogień wiary.

Zmienność opinij polityczno-religijnych, bo to teraz idzie razem, rozbija i kłóci niejednokrotnie rodzinę; rzadki dom, w którymby była zupełna harmonia, zupełna zgodność przekonań i zasad, wymagająca albo pierwotnej prostoty, albo wyższego wykształcenia wszystkich członków rodziny. Jakżeż się dziwić, że ta zmienność opinii oddziela tak często dwór od plebanii. Nic jednak smutniejszego, jak kiedy ze dworu dostaje się do plebanii ten powiew zatrutych zdań, nie stojących do siebie w loicznym związku. Jedną z głównych klęsk moralnych naszego kraju jest większość dziennikarstwa galicyjskiego — dodał proboszcz — oto są wiatraki, których skrzydła ciągle się poruszają, ale których kamienie żadnego ziarna istotnej myśli nie miały. Niskiemu w ogóle poziomowi umysłów, brakowi wykształcenia i silnych zasad odpowiada takie dziennikarstwo, które niczego nie wyznaje, tylko koziołki maga i bryzga na wszystkie strony błotem.

Rzadkie są dwory takie, do którychby się nie zaplątał dziennik tego rodzaju; jeżeli go pan nie trzyma, to dozwala go trzymać ekonomowi, a sam nieraz do niego zajrzy. Niestety, nie w jednej parafii spotkać się można z podobnem pismem, które ma jedną tylko zasadę i jedną konsekwencję, bezwzględną nienawiść Kościoła.

Uwaga proboszcza, przypomniała mi anegdotę, którą mi z wielką uciechą i śmiechem opowiadał jeden z sąsiadów. Ja nie trzymam *Djabła* — mówił on — ale go trzyma mój proboszcz, i następnie mi go pożycza. Zmieniwszy lokaja, nowo przyjętemu powiedział: „Idź do księdza po *Djabła*“. Lokaj stanął w osłupieniu i zaczął się żegnać nie zrozumiałwszy mego rozkazu.

Jeżeli takie mają być stosunki dworu z plebanią, niech raczej nie istnieją żadne; wolę, aby duchowieństwo stało osamotnione, mówił ksiądz, niżli aby się miało zarażać gangreną niedowiarstwa, lekkomyślności sumienia i ciasnoty umysłowej.

Lecz dzięki Bogu, nie wszyscy kollatorowie podobni do owego żartownisia, co wysłał służącego do księdza po *Djabła* — i księży takich, mniemamy nie wielu.

Są jeszcze niezzerwane związki między dworem a plebanią, a dwie te instytucje społeczno-moralne, skojarzone razem na podstawie wiary, uczucia chrześcijańskiego, wierności Kościołowi, tradycyi narodowej i miłości ludu oprzeć się zdołają wszystkim skojarzonym żywiolom na zaturę religii i tradycyi, duchowieństwa i szczytków szlachty. Plebania bez współdziałania dworu mniej może wyrzeć

wplywu na lud, nie poparta w swych usiłowaniach przykładami dworu, nie zdoła stać się na nowo, jak była niegdyś, wielkiem moralnem ogniskiem życia duchowego w całej wiejskiej społeczności. Lecz bardziej jeszcze dwór bez plebanii ma zagrożone podstawy swego bytu, własnej obrony przeciwko nawałowi dążeń chcących zrównać i zniszczyć to, co stało tradycją i wiarą. Tylko w ścisłem skojarzeniu naczelnika hierarchii socyalnej z kierownikiem duchownym może się odbudować ta katolicka wieś polska, jaką niszczy srogie prześladowanie schizmatyckie lub zgniła bezwyznaniowość rakuska.

Z. LUDWIK DEBICKI.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

I.

Rząd Jezuitów jest-li despotyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm. — Cele i widoki zakonu. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu i królóbójstwa.

(Ciąg dalszy).

Kto nie ma żadnego pojęcia o życiu zakonnem, temu ta reguła wyda się paradoksem, przesadą — dostrzeże jednak łatwo, że to nie jest obowiązek nałożony donoszenia kogoś, ale obowiązek przyjmowania chętnie, kiedy starszemu błędy zakonnika ktokolwiek inny, zakonnik czy świecki człowiek, odkryje. Jest jednak osobna w instytucie konstytucya, mocą której każdy wstępujący do zakonu obowiązuje się donieść starszemu błędy dostrzeżone w drugich, zatem wnoszą ci panowie, szpiegowanie wzajemne jest uprawnione, ustalone i ugruntowane. Miałyby to za sobą jakieś pozory prawdy, gdyby nie ta okoliczność, że inne także zakony podobny obowiązek na członków swych wkładają, a przecie nikt ich nie pomawia o systematyczne szpiegowanie. Na czele 13ej konstytucyi zakonu Dominikanów czytamy: Każden powinien donieść przełożonemu to coby zobaczył, aby snąć błędy przed nim (t. j. przełożonym) nie były ukryte. Zakon braci mniejszych (Franciszkanów) podlega tejże samej regule. Oto dosłowne tłumaczenie dotyczącego ustępu z 7go rozdziału konstytucyi wyjęte. „Ażeby nikt z nas nie głosił albo nie mniemał, że nie jest obowiązany donieść starszemu błędy swych braci, który temu powinien zaradzić, gdyż według zdania św. Bonawentury, generała zakonu i całego kapitułarza generalnego postanowiono, że podobne mniemanie jest „zaraźliwe“ i podkopujące zakon i karność zakonną.“ Charakterystyczną jest rzeczą, że nikt nawet nie wiedział, że w Franciszka i Dominika zakonie istnieje i wy-

czynny na siebie ta reguła, dopokąd Jezuita odpierając pociski z tej przyczyny na siebie rzucane nie zacytowali ją dla swego usprawiedliwienia a okazania bezstronności sądu tych panów.

Głośne także są krzyki na potworną naukę moralną przez Jezuitów rozszerzaną — Polacy obojętni teraz na rzeczy wiary, nie wiele się temi zarzutami zajmują. Najzaciętszy i dla tego najmniej rozumny przeciwnik Jezuitów Krzyżanowski poświęcił w swej ramocie „Dawna Polska“ ledwie dwie stronicie (37, 38) przewrotnej nauce jezuitkiej. Inni nawiasowo, sami swym słowom nie wierząc, o tem wspominają, dosyć więc nadmienić, że według samychże wrogów zakonu cała treść tej cynicznej nauki jest zamkniętą w dziele O. Busenbauma *Medulla theologiae moralis*, które (przeszło 200 razy przedrukowane zostało i aż do najnowszych czasów, zastąpione teraz dziełem takiejże treści O. Gury) jako podręcznik na wszechnicach katolickich używane było. Do tej więc książki O. Busenbauma odsyłam tych, którzy ciekawi są poznać moralne zasady zakonu.

Więcej zajmujące, chociaż równie małej wagi dla Polaków są owe głuche wieści o monitach sekretnych, bankructwie, i królobójstwie Jezuitów. Zadość czyniąc ciekawości i chcąc zarazem pouczyć z jaką to skrupulatną sprawiedliwością postępowano zawsze z Jezuitami, dam o wszystkim krótką sprawę.

Autorem „tajemnych zleceń“ (*monita secreta*) jest Polak według jednych exjezuity — według innych kapłan świecki ¹⁾. Książka ta ogłoszona w Krakowie r. 1612 miała wyjawić światu całą sieć brudnych intryg, cynicznych zasad, jakimi Jezuita zwykli się posługiwać, aby przyjsć do wielkiej fortuny i olbrzymiego wpływu. Jenerał udziela prowincyałom najtajemniej stosowne w tym celu instrukcye, aby jednoś w działaniu zapewniła dopięcie upragnionych skutków. Paszkwił ten z rozkazu Piotra Tylickiego biskupa krakow. był spalony, ręką kata na rynku w Krakowie a kongregacya kardynałów dnia 10 grudnia roku 1616 potępiła *monita secreta* jako najfalszywiej przypisane instytutowi Jezuitów. Po tych wyrokach *monita* straciły swój, rozgłos dopiero kiedy ministrowie Burbonów wraz Jansenistami i filozofami uważali za rzecz konieczną zniszczenie zakonu, *monita* jak wszystkie inne dawne i świeże paszkwile wydobyto na jaw jako dokumenta historyczne. Autorowi mogły podsunąć myśl napisania tej książki, prawdziwe listy jenerałów *epistolae Generalium*, które naczelnicy zakonu przy objęciu swego urzędu lub z innych powodów do prowincyi i domów rozpisują, a które w sali jadalnej głośno wszystkim czytane bywają. Są to jakby uniwersały królów do narodu, biuletyny hetmanów do wojska, zachęcają do wytrwałej walki na drodze cnoty, do większego zawsze w niej postępu, ostrzegają przed mogącemi wkraść się rozwolnieniami dyscypliny zakonnej itp. Jezuita żadnej tajemnicy z tych listów nie robią, ale ich też nie publikują wszystkim — gdyż są to sprawy czy-

¹⁾ Autorem miał być Hieronim Zaorowski, proboszcz Gwoździński, któremu też biskup Tylicki proces wytoczył.

sto rodzinnej cechy, które po za obręb rodzinny wychodzić nie powinny.

Monita secreta nie były jednak jedyną książką w swoim rodzaju. Zakon Jezuitów, zaraz od swego początku rozwijający wielką potęgę ducha, wielu między zakonnikami nawet i mężami stanu, miał przeciwników. Najzaciętszymi jednak jego wrogami byli akademicy Sorbońscy. Roku 1602 ogłasza Pasquier, adwokat i orędownik akademii Paryżkiej, w parlamencie „Katechizm Jezuicki“ „*Catechisme des Jesuites*“. Założyciel zakonu Ignacy, przezwany tam „rycerzem błędnym, szalbierzem, kłamcą, obłudnikiem, który się udawał za drugiego Chrystusa Pana, gburem, królobójcą, djabeł wcielonym, wielkim sofistą, wielkim osłem, Donkischotem“. — Franciszek zaś Ksawery, ów wielki apostoł i cywilizator Indyj, którego bezinteresownej cnoty i nadludzkiego poświęcenia żaden z protestantów nawet nie podał w wątpliwość — napiętnowany nazwą obłudnika i Machiavella.¹⁾ To już wystarczy, aby ocenić wartość całego dzieła. — Zwracam uwagę, pan Pasquier był katolikiem.

Inny równie dla biegłości w przyrodniczych naukach, jak dla znamenitych talentów, głośny pisarz Błażej Paskal, pozyskany przez Jansenistów przeciw Jezuitom, wydał w latach 1656 i 1657 17 listów z prowincyi (*Lettres Provinciales*), o których taki dał sąd Wolter:

„Prawda jest, że całe to dzieło zdąża do kłamstwa. Przypisano tam zřęcznie całemu Towarzystwu ekscentryczne opinie niektórych Jezuitów hiszpańskich i belgijskich. Można by podobne opinie odgrzebać równie dobrze u kazuistów dominikańskich lub franciszkańskich — lecz to tylko Jezuitom uczyniono. Usiłowano dowieść w tych listach, że Jezuiaci powzięli zamiar zdemoralizowania ludzkości, zamiar, jakiego żadne Zgromadzenie nie miało ani mieć nie może.“ Lecz tu nie szło o słuszność, tylko o rozweselenie publiczności²⁾. Sąd Woltera o tyle jest mylny, że tu nie chodziło o przypisanie zřęczne samych „ekscentrycznych opinij“ (*Les opinions extravagantes*) kilku członków całemu zakonowi, ale po prostu o wykrzywienie całej moralnej teologii Jezuitów, przedstawiając ją jako zbyt wolną, dwuznaczną i przewrotną, a nade wszystko jako śmieszna³⁾.

¹⁾ *Dictionaire historique par T. X. de Feller. t. 7. p. 57.*

²⁾ *Siecle de Luis, XIV par Voltaire. t. 3. cap. 37.*

³⁾ Cretineau-Jolly w t. IV, str. 37—40 zestawiał kilkanaście miejsc teologów jezuickich w oryginalnym tekście obok cytacyi w listach Pascala. Janseniści podając w śmieszność systemy teologiczne Jezuitów a w wątpliwość ich moralną teologię, używali między innymi i tego sposobu, że z zarwanych po różnych miejscach słów zestawiali całe zdania i one Jezuitom przypisywali zapewniając, że w jezuickich pismach się znajdują. Tego środka chwycił się i Pascal.

Podobnej treści jest dzieło Arnolda (*Antoine Arnauld*) „*Morale pratique des Jesuites*“, które znów jest odbiciem głośnego w Hiszpanii pamfletu „*Teatro Jesuitico*“ przypisanego przez Arnolda Dominikaninowi Ildefonsowi od św. To-

Listy z prowincyi, potępione przez Papieża, biskupów francuzkich i radę królewską, jako niegodny pamflet na rozkaz parlamentu w Aix spalone publicznie ręką kata, były tem ciekawiej czytane we Francyi jak całej Europie, chociaż gładkość stylu, dowcipna złośliwość i autorstwo Paskala już samo przez się do czytania zachęcało, a Jezuitci na argument śmieszności, śmiesznością odpowiedzieć nie umieli, czy nie chcieli.

Te trzy książki: Monita, Katechizm i Listy z prowincyi są źródłem, z którego wszyscy antagoniści Jezuitów czerpali źródło obite i nieprzebrane, nieszczęście, że jadem fałszu zatrute.

Równie kłamliwe są wieści o bankructwie Jezuitów.

Zapowiadam z góry, że w trzechwiekowej epoce istnienia zakonu dwa były bankructwa nie „Jezuitów“ ale „Jezuity“. Nieprzyjaciele zakonu opowiadając najrzetelniej te fakta, utrzymują, że Jezuitci widząc bankructwo, wyparli się współdziału z owym swoim miłym bratem, który stał na czele firmy — i trzymając się owej zasady Gamaliela: „lepiej jest, żeby umarł jeden za lud a cały naród nie ginał“ onego jedynego brata poświęcili dla ocalenia siebie i wypchnęli z zakonu. Wytracony z Towarzystwa „bogaty“ braci, ubogi brat nie miał czem spłacić kredytorów, którzy następnie w ostatnią popadli nędzę. Tymczasem nie tak się rzeczy mają. Roku 1646 brat zakonny, któremu powierzone było opatrywanie potrzeb kollegium w Sewilli, widząc, że dochody zbyt są szczupłe, postanowił one powiększyć, wypożyczając kapitały i one na handel okrętowy obracał. Braciszek ów czynił to bez wiedzy starszych, wierzyciele byli istotnie przekonani że brat działa w imieniu rektora domu sewilskiego. Los chciał, że burza zniszczyła wszystkie rachuby przemysłnego brata, wierzyciele zgłaszają się do rektora domu i w ogóle do Jezuitów o zwrócenie kapitałów. Jezuitci, którzy dopiero wtenczas o przedsiębiorstwie brata dowiedzieli się, zwrócili przynależne kapitały — brat, który skompromitował zakon, został wydalony i umarł w ubóstwie nie narzekając na nikogo tylko na siebie⁴⁾. Encyklopedyści wieku XVIII pod rubryką „*Jesuites*“ opowiadają ten fakt w tych krótkich ale wilemówiących słowach: „W 1546 roku Jezuitci zbankrutowali w Sewilli — bankructwo to popchnęło wiele rodzin w nędzę.“

Drugie i ostatnie bankructwo, głośne na cały świat, gdyż było jedną z bezpośrednich przyczyn kassaty, jest bankructwo O. Lavalette.

masza, później biskupowi w Maladze. Protestował przeciw tej potwarzy Arnolda biskup w liście do Inocenciego XI — nazywając książkę Arnolda, „*un libelle infâmé indigne de la lumière, et composé au milieu des ténèbres de l'enfer*“. *Teatro Jesuitico* na rozkaz Filipa II spalone publicznie ręką kata. Dodać tu muszę, że komedia Molièra *Tartufe* (obłudnik) mylnie jest poczytywaną jako sarkazm na Jezuitów. Molière był uczniem Jezuitów — znał dokładnie swych mistrzów i nigdzie ich dobrej sławy nie szarpał. Nie Jezuita więc ukrywa się w roli obłudnika, ale wedle ks. Choissy, miała ona być odzwierciedleniem tego rysunku jaki naszkicował ks. Roquette.

⁴⁾ Cretineau-Jolly. t. 3. 277.

Misyje Jezuitkie w Paragwaj, w Nowym świecie i na wyspach Oceanu, utrzymywały się jak wszystkie misyje zakonne i kolonie Europejczyków z produkeyi cukru, indigo, kawy i sprzedaży lub wymiany tychże za towary europejskie. Wyzyskiwali tę okoliczność nie raz jeden nieprzyjaciele Jezuitów, obwiniając ich o przemykanie i niedozwolony handel, ale królowie hiszpańscy i francuzcy przekonawszy się przez osobne w tym celu wysadzone komisye o niesłuszności obwinień, wiary dalszym krzykom nie dawali.

O. Lavalette, potomek wielkich mistrzów maltańskich, mianowany przez jenerala zakonu Visconti superiorem, to jest przełożonym misyi na wyspie Martynice, znalazł finansowe jej stosunki w opłakanym stanie. Sam główny dom w Martynice zadłużył się na 135 tysięcy franków. Cokolwiekbądź bowiem mówią o zmyślności i prze-myślności Jezuitów, to jednak pewna, że prokuratorzy, tj. gospodarze domów i kolegów lichymi są gospodarzami: sama ich przeszłość przy książkach i w konfesyonale spędzona, jest, w ogóle mówiąc, najlepszą rękojmą ich nieudolności. Przedsiębiorczy duch jednak O. Lavalette podniósł znacznie w niedługim lat przeciągu zasoby misyi. Wnet jednak ujrzał się być zaskarżonym u ministra marynarki p. Rouillé i jenerala zakonu o przemykanie i handel i w skutek tego do Europy odwołany został. Atoli gubernator kolonii, p. Hurson, do którego należało czuwanie nad podobnemi wybrykami, osobnem pismem upewniał jenerala i ministra marynarki, że oskarżenia te są czczym wymysłem nieprzyjaznych zakonowi ludzi, i że honor zakonu wymaga, aby O. Lavalette na dawną posadę został przywróconym. Stało się zadosyć woli gubernatora. O. Lavalette wróciwszy na wyspę, powziął istotnie myśl, która mu złośliwie przez oskarżycieli jego podsunięta została i rozpoczął bez wiedzy wyższych przełożonych szereg spekulacyjnych przedsiębiorstw na wysoką skalę. Za pieniądze zaciągnięone u bankierów zakupił najprzód znaczne obszary ziemi na wyspie Dominice i dla ich uprawy sprowadził 2000 murzynów. Morowe powietrze przedzięsiatkowało murzyńską ludność. Niezrażony Lavalette, nie mogąc uiścić się wierzycielom w wypłacie rat zaległych, zaciągnął nowe sumy na wysoki procent — zakupił znaczną ilość produktów krajowych, które potworzone przez niego komitety handlowe w portach holenderskich spieniężyć miały, a na tychże samych okrętach wyroby holenderskie przesłać do komitetów handlowych w portach amerykańskich. Wszystko było wybornie obmyślane i wyrachowane, gdy w tem (1755) wybuchła wojna między Francją i Anglią — a korsarze angielscy schwytali okręta pod banderą francuzką płynące, między temi i okręta O. Lavalette. Wypadek ten pociągnął zupełne bankructwo Jezuitów, które obliczono na 500.000 franków.

Jezuici marsylijscy otrzymali pierwsi wiadomość o skrytych robotach O. Lavalette i uwiadomili natychmiast jenerala zakonu. Tymczasem wierzyciele O. Lavalette, wdowa Grou i jej synowie z Nancy i bracia Lioncy z Marsylii, domagali się od zakonu zwrotu sum. Zdrowa polityka nakazywała pieniądze do szeląga wypłacić, aby sprawa ta przed trybunały wytoczona, nie podała nowej broni nieprzyjaciółom

zakonu. Nieszczęściem, nie zdecydowano się na tę ofiarę, i ufając zapewnieniom prawników, iż zakon nie jest obowiązany do solidarności z O. Lavalette ¹⁾, i że tylko sama misya w Martynice odpowiedzialna jest za poniesione straty, powierzono rozwiązanie fatalnej kwestyi, dziwnem jakimś zaślepieniem, adwokatowi i parlamentowi francuzkiemu, temu odwiecznemu wrogowi Towarzystwa. W takim składzie rzeczy już z góry można było zawyrokować o przebiegu sprawy. Trybunał paryzki skazał Jezuitów *in solido* na spłacenie wdowie Grou 30.000 franków. Zachęteni tem bracia Lionścy, wytoczyli Jezuitom proces w Marsylii. Jezuitci nie uznając słuszności tych wyroków, oddali całą sprawę pod sąd parlamentu — i sprawę przegrali. O. Lavalette otrzymał dymisyą z zakonu — przed wydaleniem się jednak z Towarzystwa, któremu niesforną swą przedsiębiorczością zagładę przyspieszył, wydał pismo, które przed światem całym chciał mieć ogłoszone, a w którym przyznając się w zupełności do winy i na siebie wyłącznie całą biorąc odpowiedzialność, upewnia i zeznaje pod przysięgą, „że pomiędzy pierwszymi starszymi zakonu” niema ani jednego, któryby mię upelnomocnił, albo dał radę, albo pochwalił w handlu, który przedsięwziąłem; niema ani jednego, któryby brał w jakikolwiek bądź sposób współdziałal w tej sprawie... Nakoniec biorę Boga za świadka; zem nie został spowodowany do podobnego wyznania ani siłą ani groźbą, ani prośbą, ani jaką inną sztuką“ ²⁾. Rzecz jasna, że podobne wyznanie O. Lavalette nie polepszyło losu Jezuitów, owszem do dawnych krzyków przybyły nowe, że Jezuitci poświęcili jednego z pośród siebie, jako kozła ofiarnego na odwrócenie kaźni, na jaką swą chytrą

¹⁾ Istotnie tak było. Zakon nie był obowiązany do spłacenia długów O. Lavalette.

We Francyi jak i w innych krajach pojedyncze domy zakonne uważane były jako „osoby cywilne“, tj. przysługiwało im prawo nabycia, posiadania, sprzedania i zastawiania swej własności. Przełożony domu wykonywał tu prawa. Ignacy Lojola zastał taki stan rzeczy i przyjął jako podstawę dla swego zakonu, a bula Grzegorza XIII 1582 roku zatwierdziła myśl świętego zakonodawcy. Wyjąwszy domu professów, którzy z jałmużną się utrzymują, wszystkie inne kolegia, domy i misye zaatlantyckie Jezuitów, miały swoje pewne stałe dochody, których generalnym zarządczą (nie właścicielem) był generał w Rzymie, a bezpośrednimi administratorami przełożeni tychże domów. Prywatne własności obwarowane są w konstytucyach i nigdy w wątpliwosc nie były pociągane, aż gdy nieszczęśliwa sprawa O. Lavalette wytoczyła się. Wtenczas sędziowie, wychodząc z zasady, że generał zakonu jest despotą a więc i właścicielem (*propriarius*) wszystkich majątków jezuickich — skazali cały zakon *in solido* na spłacenie długów. Tymczasem sam tylko dom misyjny w Martynice, którego O. Lavalette był przełożonym, był obowiązany do zaspokojenia wierzycieli. W rzeczy samej, wizytator generalny antylskich misyj, O. Sacy spłacił więcej jak 200.000 franków, które O. Lavalette pożyczył u kupców tamtejszych.

²⁾ Akt ten również jak i akt dymisyi znajduje się w oryginale w archiwum kolegium *al Gesu* w Rzymie, z kąd kopią przytacza Cretineau-Jolly w historii Jezuitów. T. IV. 192—193.

przebiegłością zasłużyli. Godne jednak zastanowienia, że O. Lavalette mieszkając potem w Anglii, wolny i swobodny, nie odwołał pisma w domu misyjnym Martyniki d. 25 kwietnia 1762 r. do świata całego wystosowanego — snąc więc, że prawdą było, co wtenczas tam pisał

Oto jest prawdziwa historia drugiego i ostatniego bankructwa Jezuitów. Tysiącem ust i piór rozniesiona po całej Francji objaśniona tysiącem wersyj i domysłów, wyzyskiwana przez wszechmocną natenczas Pompadour, na Jezuitów (iż jej spowiednik Jezuita rozgrzeszenia dać nie chciał, dopokąd z komnat króla się nie usunie), srodze zagniewaną, przez Jansenistów i filozofów z ministrem Choiseul na czele do znaczenia zbrodni stanu podniesiona, podala w dyskredyt zakon i stala się w rękach tych ludzi walnym taranem do tłuczenia muru niezachwianej dotąd powagi Jezuitów. Obarczono cały zakon zarzutami brudnego skąpstwa i niepohamowanej chciwości złota za to, że jeden niesforny członek wbrew kościelnym kanonom i ustawom zakonnym puścił się na niepewne morze negocjacyi w nadziei materyjalnego zysku¹⁾.

Zarzuty królobójstwa i skrytobójstwa jakkolwiek grzeszą przesadą, która każdemu myślącemu człowiekowi wątpić każe o ich prawdziwości — stały się jednak więcej może powszechnemi u nas, jak tante, dla swej politycznej cechy.

Ex-jezuita Piotr Jarrige, zbiegły do obozu heretyków w Hollandyi r. 1647, upowszechnił i ustalił owe zarzuty dzielkiem: Jezuita na rusztowaniu za mnogie zbrodnie²⁾ — a lubo apostata ten za pośrednictwem Jezuitów Ponthelier, pojednał się z Kościołem a nawet z zakonem, lubo najdobitniej odwołał oszczerstwa, oskarżając swoją dumę obrażoną nieotrzymaniem urzędu, którego się spodziewał — nieprzyjaciele jednak zakonu, mianowicie Janseniści, zastawiali się jako powagą historyczną a bezstronną owym pamfletem apostaty, „który, snąc, wiedział co pisał, gdyż sam długie lata był Jezuitą i za swoją niedyskretną wielomowność, od Jezuitów w podziemiu został uduszony.“

Krzyki te i wolania o tyle są uzasadnione, że kilkunastu Jezuitów w pierwszym mianowicie wieku istnienia zakonu, oskarżonych było sądownie o zbrodnię stanu i śmiercią ukaranych, chociaż im nigdy nie dowiedziono dokonanej zbrodni, a często ich niewinność wyrokiem tych samych królów, na których życie godzić mieli, światu ogłoszoną została. Podam krótki przebieg tych ze wszechmiar cieka-

¹⁾ Krzyżanowski idąc za Jansenistami w. XVIII gorszy się handlem i znaczeniem Jezuitów paragwajskich (str. 39—'0). Według niego misye te były przedmiotem „spekulacyjnych zabiegów“. — Otóż wiedzieć należy, że od wszystkich akatolickich nawet historyków, misye Jezuitckie w Paragwai uznane są jako arcydzieło cywilizacyjne. Już niejedno wprawne pióro dzieje tych misyj opisało, a opinia publiczna przywykła sądzić ze „słuchu“ nie wierzy Krzyżanowskiemu i jego towarzyszom.

²⁾ *Les Jesuites mis sur l'échafaud pour plusieurs crimes capitaux.* — Jarrige nie został przyjętym nazad do zakonu, ale umarł r. 1670 jako ksiądz świecki w Tulle, w dobrym żyjąc porozumieniu z Jezuitami. *Historia urbis Tullensis lib. III. p. 290*

wych a ponczających wypadków. Zaczniemy od Anglii. Jezuitę, O. Kampiana i kilkunastu innych wraz z kilkuset katolikami egzekwowano w sposób barbarzyński w Londynie, Yorku i innych miastach. Minister i faworyt „dziewiczej królowej“ Cecill, usiłował dziełem Justitia Britannica wmówić w Europę, iż Jezuitci stali się winnymi zbrodni stanu, chociaż świat cały wiedział, że wina ich ta była jedyna, iż „bękarta Elżbietę“ za papieżycę uznać nie chcieli, oddając jej zresztą w rzeczach państwa najzupełniejsze posłuszeństwo. Również spisek Babingtona w celu wyswobodzenia pięknej Maryi Stuart, nie skompromitował ani jednego Jezuitę, mimo to, że Cecill i posłuszne mu śledece sądy rozbierały najmniejsze drobiazgowości spisku, a nieszczęśliwego Babingtona i trzynastu współników nie raz jeden najsroźszemi torturami zmuszali do wyznań przeciw Jezuitcie Westonowi, który natenczas dostawszy się w pułapkę tajnej policyi, na torturach czynił zeznania swej niewinności¹⁾.

Za to stało się powszechnem niemal przekonanie, że spisek prochowy na życie Jakuba I był dziełem Jezuitów, a przynajmniej Jezuitę O. Gérarda. Tymczasem listy Jezuitów angielskich do generała zakonu świadczą najwymowniej, że wszelkich starań dokładali, aby katolików zroszczonych okrucieństwem wyroków królewskich od wszelkich gwałtownych kroków powstrzymać, chociaż z drugiej strony nie tają wcale, że rozdrażnienie katolików tak wielkie i słuszne, iż wątpią w pomyślny skutek swych usiłowań. Spisek Katesby'ego został zdradzony przez Treshama. Współwinowajcy pojmani, badani, stanowczo odpierali zarzuty sędziów, jakoby Jezuitci byli sprężyną spisku. Wszelkie poszukiwania w papierach, korespondencyach itp nie wykryły najmniejszego *corpus delicti*. Sprawiedliwość Cecilla i sędziów znalazła sposób: pofalszowano protokoły i zeznania obwinionych i na podstawie ohydneho fałszu osadzono w turmie londyńskiej O. Garnetta, Texamunda i Gérarda, gdyż „według zeznań jawną i pewną jest rzeczą, że wszyscy trzej są szczególnymi zwolennikami spisku, a następnie nie mniej winnymi, jak naczelnicy i doradcy zdrady“. Wyrok, jakkolwiek niesprawiedliwy sądów angielskich, wypowiada jednak mniej jak głoszą nieprzyjaciele Jezuitów. Nazywa Jezuitów „zwolennikami“ podżegaczami spisku — zrobiono z tego historyczną kalumnię: Jezuitci byli „sprawcami“ spisku. Garnett stojąc już na rusztowaniu, wyrzucił na oczy (według depešy ambasadora hiszpańskiego, Pietra de Zuniga do księcia d'Arcos) p. Montague, przewodniczącemu egzekucyi, pofalszowanie aktów, i upewnił, że niewinnym jest spisku i że go odradzał. Takie samo zeznanie złożył pismiennie r. 1630 O. Gerard. Nie żądam, pisze, miłosierdzia na sądzie bożym, jeżeli nieprawdą jest, że o tym spisku zgola nic nie wiedziałem. Pisał to ośmdziesięcioletni prawie starzec na niewiele miesięcy przed śmiercią i w bezpiecznem przed angielską sprawiedliwością zostając miejscu. Ojca Baudoin, prowincyała Belgii, jako mniemanego współwinowajcę Jezuitów angiel-

¹⁾ Cretineau-Jolly. 2. 238.

skich, z Rzymu do Anglii porwanego, badanego i sądzonego, sam Jakób I uznał niewinnym i puścił na wolność¹⁾.

Ktoby teraz wierzył, a jednak sprawiedliwość heretycka wierzyć to każe, że Jezuitów uważano w Anglii za sojuszników Kromwela i winnych królobójstwa Karola I. Kromwell, który jakby na inauguracją protektorskiej swej władzy trzech Jezuitów, Holanda, Korbyego i Henriego za to jedynie, że Jezuitami byli, jako winnych zbrodni stanu wieszać i ćwiartować kazal, innych morzył i zabijał torturami w więzieniu, zostawał w rewolucyjnym sojuszu z Jezuitami. Tak jednak jest według klamliwej historii kalwińskiego ministra Piotra Jurieu: „polityka kleru francuzkiego“. Jezuiti biegli politycy, usiłowali pogrążyć w ostatni odmęt Anglią, aby w tem zamieszaniu ogólnem i nierządzie wskazać na katolicyzm jako na jedyną przystań wśród zburzonych namiętności. Podbijali więc bębenka Purytanom, lecz z drugiej strony, aby ich podać w nienawiść Europy i osławić, umyślili korzystać z uwiezienia Karola I, zgładzić niedołęznego króla, a ono królobójstwo na kark Purytanów policzyć. Pierw jednak zasiągnęli zdania Papieża i akademii sorbońskiej, czy podobny krok da się usprawiedliwić w obec zasad katolickich. Papież pochwalil zamiar, toż samo uczynila Sorbona. Jezuiti powróciwszy do Anglii, wstępują w szeregi Purytanów, rekrutują do nich liczny zastęp katolików, i tak zmyślając religią purytańską, pracują nad tem, aby rewolucya wprowadziła króla na rusztowanie. Szatańska robota udała się wybornie. Karol I, który dla tego jedynie zginął na rusztowaniu, że nie umiał być królem, znalazł się na długiej liście ukoronowanych ofiar Jezuitów. „Heretycy hollenderscy i francuzcy lubując sobie w tym rodzaju pisania historii, gdzie się wszystko zbywa ogólnikami, bez dat, nazwisk i źródeł, pochwytili bajkę pana Jurieu, roztrąbili ją po świecie całym, i stanął dogmat historyczny: Jezuiti zamordowali Karola I.

W Anglii, kraju spisków i knowań katolickich, wymyśliwanych w wiekach XVII i XVIII przez episkopat angielski i lordów, którym widocznie strach przed utratą duchownych zabranych majątków, rozogniał fantazyą i przyostrzał zmysł polityczny, Jezuiti byli zawsze uważani, jak my dzisiaj Polacy za rewolucyonistów z urodzenia, za konspiratorów a przynajmniej za sojuszników wszystkich spiskowców. Wiecznie tedy donoszono ich królom Karolowi II i Jakubowi II, jako czychających na życie królewskie. Karol II, który umarł katolikiem, Jakób II, który Jeznitę Petersa posadził w radzie państwa, usmiechnięciem zbywali podobne denuncyacye. Znaleźli się jednak tacy między lordami, którzy najpotworniejszym fikcyom potrafilo dać cechę prawdziwości, uwieść opinię publiczną i kryminalny proces Jezuitom wytoczyć. Skoro tylko sprawa przed kratki sądowe wytoczona została, Jezuiti już z góry na śmierć zadekretowani zostawali. Karol II chwiejny i

¹⁾ Z wielkim talentem i krytyką na powadze angielskich historyków oparty, napisał historię spisku prochowego Cretineau-Jolly t. III. rozdział 2. Żaden też z poważnych niemieckich historyków Jezuitów do spisku nie mie-za.

niedoleżny podpisywał dekret śmierci na tych, o których niewinności dobrze wiedział. Tak r. 1679 powieszono i ćwiertowano pięciu Jezuitów na podstawie spisku wykrytego przez Oates'a. Anglik ten, bez majątku i urzędu, goniąc za karierą, nie wzdygnął się przed żadną podłotą. Zostaje katolikiem r. 1678 wstępuje do Jezuitów, po pięciu miesiącach z zakonu wydalony dla swej niesforności, udaje się do pana Tonge doktora londyńskiego, Jezuitów nieprzeblaganego wroga i zmyśla spisek, który będąc u Jezuitów i wcisnąwszy się w ich tajemnice, odkrył, a jako niezbity dokument pokazywał przejęte korespondencye. Były to ręką Oates'a podrobione listy zawierające tak uderzające nieprawdopodobienstwa, że sędziowie uważali za rzecz konieczną, zatrzyć całą tę sprawę, aby się najohydniej nie skompromitować. Nie tak jednak sądził hrabia Szatefsbury. Wychodząc z zasady, że im potworniejsze będą okoliczności spisku, tem łatwiej lud, zachwycony cudownością uwierzy, podjął wątek procesu wytoczonego Jezuitom przez Oates'a. Ulatwiło mu robotę niespodziewane odkrycie. Ludwik XIV w widokach czysto politycznych zawarł sekretne z Karolem II przymierze, którego podstawą, było przywrócenie katolicyzmu w Anglii. Książę Yorku, przyszły król Jakób II, już dawniej został katolikiem, a Jezuiti pełnili na jego dworze obowiązki spowiednika i sekretarza. Sekretny traktat z Ludwikiem nie był dla nich tajemnicą. O. Kolman sekretarz księżny Yorku prowadził dość nieostrożną korespondencyą w tym przedmiocie z O. Lachaise spowiednikiem Ludwika XIV. Otóż w śledztwie i poszukiwaniach korespondencya ta, czy też kopia korespondencyi, o której Oates zgola nic nie wiedział, dostała się w ręce hr. Szatefsbury. Na tej podstawie oparty mógł hrabia proces Jezuitom wytoczyć i uwięzić śmiercią najprzód Kolmana a potem pięciu Jezuitów. Nie była to zbrodnia stanu, ani zamach na życie króla. Jezuiti angielscy, jak wszyscy katolicy Anglii, pragnęli przywrócenia katolicyzmu. O. Kolman w korespondencyi do O. Lachaise nie politykował wcale, tylko nieostrożnie wypowiedział nadzieje swoje, których prędkie spełnienie traktat z Francją i osobiste Karola II usposobienie obiecywały. Szatefsbury zrobił z tego historją atentatu na życie tego króla, przyozdobił ją dziecinnej wyobraźni okolicznościami jak jest ta n. p. że pistolet z którego Jezuita miał strzelać na osobę królewską, trzy razy spalił na panewce. Stugębna fama heretycka rozniosła po świecie nowy dogmat historyczny: Jezuiti usiłowali zabić Karola II ¹⁾.

(C. d. n.)

¹⁾ Czytaj o tem, kto chcesz, historję Cretineau-Jolly t. IV. rozdz. 2. Znajdziesz tam zdania samych historyków angielskich potępiające bezczelność sędziów i łatwo wierność opinii publicznej.

Wrażenia

Z PODRÓŻY PO GALICYI

niemieckiego publicysty.

(Dokończenie).

Zdaje nam się, że w tem przedstawieniu, jakkolwiek wiele znajdzie prawdy, równie też jednak i wiele przesady: zwłaszcza gdy p. Eckardt tak tu przedstawia jakoby taka nieprzyjaźń księży uni-ckich przeciwko obrządkowi łacińskiemu i przeciwko polskiemu ży-wiołowi była zupełnie powszechną. Tu już, sądzimy, widać wpływ opowieści jego św. Jurskich przyjaciół; boć dzięki Bogu chyba taki stan ogólnym nie jest, choć w niejednym miejscu istnieje. Więcej już prawdy można przyznać następnym ustępom, gdy wspomina o związku kwestyi ruskiej z kwestyą agraryjną, i twierdzi iż niezłatwienie sprawy o pańszczyzny musiało przeszkodzić dokonaniu polonizacyi Czerwonej Rusi pod rządem austryackim. Ale o tem połączeniu obu tych kwestyj tylko mimochodem wspomina i niedostatecznie pod-nosi jej ważność dla agitacyj ruskich; widocznie zostaje pod wpływem tych przyjaciół we Lwowie, którzy unikali przedstawienia mu kwestyi ruskiej z tej strony materyalnej, a za to bardziej narodową jej stronę podnosili. To też zanadto wpływu przypisuje literaturze ru-skiej, jakoby już przed 1848 r. bardzo żywej, obok czego jako naj-większą dźwignią dążeń ruskich przedstawia starania w tym duchu biskupa przemyskiego Śnigorskiego, którego robi metropo-litą. W jakim zaś to duchu o tych usiłowaniach mu rozpowiadano, to najlepiej może przekonać, skoro powiada nawet o metropolicie Jachimowiczu, że się polskiej strony trzymał. A już najbardziej zdra-dza źródło swych informacyj, gdy uważa, iż postawienie w r. 1848 przez Stadiona narodowości ruskiej, jako przeciwnika polskich dą-żeń, było tylko uznaniem zupełnie już istniejącego stanu, pochwa-lając prawie bystrość, męża stanu godną, z którą spostrzegł, jaki to użytek mogą oddać Austrii Rusini. Tylko z ironią mówi o „wy-nalezieniu“ przez niego ludu Rusinów (*Ruthenen*), którzy nigdy przedtem nie istnieli; co jednak nie w tem znaczeniu pojmuje, ja-kie przypisują nieraz Polacy temu wynalezieniu, lecz dla tego się tak wyraża, ponieważ, jak to już wspomnieliśmy, dla niego Rusini są *Russen* tak jak i tamci zagranicą; tylko że chyba dodatkiem

Kleinrussen od *Grossrussen* ich rozróżnia. Już zaś na początku wskazaliśmy, jakie trudności językowe rzeczywiście dla Niemca zachodzą w należytem Rusinów od Moskali-Rossyan odróżnianiu. Ta to trudność przyczynia się do tego, iż znajduje naturalnym zwrot Rusinów galicyjskich ku Moskwie, odkąd rząd austriacki „z braku konsekwencji“, którą mu zarzuca, począł się zbliżać do Polaków. Przecież i ci i tamci są dla niego *Russen*; a już się postarano mu wytłómaczyć dokładnie w Narodnim domu, że ruski język od moskiewskiego dyalektycznie się tylko różni, i że przyjęcie moskiewskiej pisowni jest koniecznością, przy niedostatkach kirylicy i kuliszówki. Tem naturalniejszym wydaje mu się ten zwrot przy reformach moskiewskich i oswobodzeniu tam chłopów, a równocześnie przy polskich ruchach, i może w istocie nie zawsze taktownem postępowaniu Polaków w Galicyi w obec Rusinów. Za to, rzecz dziwna, nie zupełnie nie mówi o agitacjach wprost z Moskwy pochodzących i bezpośrednich ztamtąd wpływach, co tem bardziej zastanawia, iż przeciw studyować politykę moskiewską w Galicyi, było celem jego podróży.

Opis Lwowa, tego co tam widział i jakich doznał wrażeń, stanowi czwarty rozdział obrazów z podróży p. Eckardta. Ktokolwiek oprócz Lwowa zna jakiegobądź inne większe miasta, ten się nie zdziwi, że jeżeli się zachwycał nasz podróżnik pięknem położeniem stolicy nadpełwiańskiej i widokiem z wysokiego zamku, to jednak w samem mieście nic mu się spodobać nie mogło; ze zdziwieniem mówi o zupełnym braku jakich bądź budynków, któreby na uwagę zasługiwały. Przytoczenie kilku słów wystarczy dla pokazania, jak odrazu spostrzegł słabe strony Lwiewo grodu.

„Gdy się dojdzie do tego punktu centralnego miasta (do rynku), czuje się zawiedzionym w oczekiwaniach, może wzbudzonych przez dosyć przyzwoitą powierzchowność niektórych części ulic Halickiej i Długiej. W pośrodku dosyć dużego brukowanego, ale naturalnie bardzo brudnego placu, na który spoglądają z góry wcale nie piękne, trzypiętrowe domy, po części zaopatrzone w sklepy, stoi żółto otynkowany, niczem nie ozdobiony budynek, pozoru równie do nudów usposabiającego jak czworokątna, prozaiczna wieża, która się z pośrodku niego wznosi. Jest to ratusz, otoczony czterema nie pięknymi figurami z gipsu, stojącymi na przeciwko jego rogów. Tu się zbierają ojcowie miasta, i różne sądy odbywają swoje posiedzenia. Dla wykształconych mieszkańców miasta nabiera on tylko znaczenia na te kilka tygodni, kiedy się tam odbywają wybory. Brać udział w ży-

ciu gminnem prowincjonalnego miasta (dziury, gdzie mieszka wielu Niemców, Żydów i Rusinów), to rozumie się, nigdy nie przyjdzie na myśl polskiemu politykowi, który nie lubi się zajmować drobnostkami; z tego to prawdopodobnie powodu ulice jeszcze nie doszły ani do bruku, ani do powszechnie uznanych nazw. Dawne nazwy ulic po części wyszły z użycia, po części umyślnie je zniesiono. Nowsze części miasta jeszcze wcale nie doszły do takiego zbytku, żeby posiadać takie nazwy. Winien temu podobno żywy, ale nie dosyć oświecony patryotyzm rady miejskiej lwowskiej, nie mogącej się zgodzić na to, któremu z licznych narodowych bochaterów należy przyznać zaszczyt patronowania której ulicy“.

Więcej naturalnie niż budynki zwraca uwagę podróżnego powierzchowność lwowskiej ludności: tylko jej obraz przez niego skreślony, nie zupełnie się wiernym wydaje.

„Lwów zawdzięcza czysto polskie wrażenie, które sprawia, młodzieży, po największej części w narodowym stroju wędrującej z cygarem po ulicach i polskim napisom na publicznych budynkach i sklepach. Zwłaszcza też handle przez Niemców lub Żydów utrzymywane celują w polskim patryotyzmie i zalecają za najświętszy obowiązek swym subjektom i chłopcom, żeby w sutych czamarach stali za stołami sklepowemi (?), w oknach wystaw sklepowych prawie tylko polskie stoją książki; są przystrojone te okna głównie obrazami z nieszczęśliwego powstania w r. 1863, i fotografiami partyzanckich dowódców (?). Smolki piękne męzkie oblicze posiada, jak się zdaje, szczególną przychylność księgarzy i kupczących obrazami; tu i owdzie spotyka się też portrety cesarza austriackiego i cesarzowej. Jak już wspomniano, młodzież polska wyższych stanów z upodobaniem nosi narodowe szaty i konfederatkę z barankiem; mieszczanin, czy Niemiec, czy Rusin, poprzestaje na sukniach francuzkiego kroju (prędzej możnaby wprost przeciwnie twierdzić; p. Eckardt zdaje się uniemiać, że we Lwowie wcale nie ma polskiego mieszczaństwa). Wieśniak (w okolicach Lwowa leży wiele wsi polskich) nosi grubą czarną kapotę z rzędem długich, spiczastych guzików, i przyozdabia głowę w okrągły kapeluszek z szerokim rondem (?); jego czworokątny wózek bez resorów, ciągną szybko małe silne koniki, mimo wielkiego błota na ulicach, a wąsaty parobek, który nim powozi, spogląda wesoło i z zadowoleniem.

„Ale panującym żywiołem na ulicach nie jest ani pan (pan Eckardt często używa wyrazu „pan“ tłumacząc go na niemieckie dla oznaczenia Polaka), ani chłop, ani niemiecki (?) mieszczanin, i nie żoł-

nierz, ale na wszystkich rogach i placach stoją ludzie o mocno wygiętych nosach, iskrzących się oczach i długich ciemnych brodach, zwieszonych na czarne, błyszczące, nie zawsze czystością świecące szaty... Przynajmniej 30 procent mieszkańców Lwowa stanowią Żydzi; w nowszych czasach nawet się ten stosunek prędzej zwiększył niż zmniejszył. Drobnny handel i w znacznej części rzemiosła zostają w rękach tego przemysłnego szczepu, który przez umiejętne stosowanie się do okoliczności i swą zręczność stał się od dawna niezbędnym dla polskiej indolencji, a którego wpływ równie szybko wzrasta jak jego liczba.“

A gdy z tego powodu mówi p. Eckardt o tem, jak to Żydzi dawniej byli Niemcami a jak teraz szybko się polonizują, gdy dalej przedstawia spolonizowanie urzędów i niemieckiej ludności urzędniczej; to wprawdzie ani chwali ani gani tego, tylko powiada co się stało; ale tu już wyraźnie przebija niechęć do tego kierunku; nie może się ukryć, że wołałby, gdyby rząd austriacki nie porzucał swych tendencyj germanizacyjnych, choć w kraju nie niemieckim. Tu już musi się przebić w nim Niemiec, dla którego cywilizacya i germanizacya są synonimami, w obec tego nie wytrzyma jego bezstronność próby, choć się o nią w innych razach stara. Najbardziej się to okazuje, gdy mowa o uniwersytecie:

„Rozstrzygającym o ich (kół nie polskich) przyszłości będzie los uniwersytetu lwowskiego. Zakład ten, ustanowiony jako niemiecki przez Józefa II. obsadzony na wydziałach prawnym i filozoficznym wyłącznie przez niemieckich profesorów zwyczajnych, zagrożonym jest co do istoty swego bytu, odkąd nowo zaprowadzone w gimnazyach wykłady polskie pozbawiają swych uczniów możności słuchania prelekcji niemieckich profesorów wszechnicy i odkąd mianowanie polskich suplentów obok niemieckich ordynaryuszów daje możność studyjującej młodzieży poznania właściwych nauczycieli uniwersyteckich. To też korporacya profesorów uniwersytetu lwowskiego spełniła tylko swój obowiązek, stawiając w grudniu 1869 roku wniosek, aby ten zakład do której z niemieckich prowincyj państwa przeniesiono. Niedorzecznem to jest po prostu, żeby w kraju, którego polski charakter niewątpliwie przez państwo uznanym został, w którym władze i szkoły oddawna przestały być niemieckimi nawet z imienia, ażeby w takim kraju utrzymywano niemiecką wszechnicę, a równocześnie odbierano jej profesorom słuchaczy przez mianowanie polskich suplentów. Niemiecki uniwersytet we Lwowie stał się niemożliwym; jego polonizacya nie zdaje się być odpowiednią, skoro

założonym był jako niemiecki, utrzymywanym jest z funduszków państwa, a ludność polska trzy miliony licząca posiada już w Krakowie własną narodową wszechnicę. W obec tych powodów wszystkie argumenta Polaków za utrzymaniem zakładu pokazują się niedostatecznymi; a co się tyczy Rusinów, to ci nie posiadali nigdy własnego uniwersytetu tylko wydział teologiczny, który przecież można im pozostawić. Jednakże wniosek lwowskiego senatu akademickiego odrzucono w Wiedniu a tem samem uznano, przynajmniej ubocznie, konieczność utrzymania w Galicyi dwóch polskich uniwersytetów.

„Odkąd w gimnazyjach uczą po polsku i polskich suplentów instalowano, audytorya niemieckich profesorów redukują się do pojedynczych żydowskich słuchaczy lub jeszcze rzadszych ruskich, którzy jakimś przypadkiem nie są teologami“.

Otóż jeżeli w tem przedstawieniu rzeczywiście dobrze zrozumiał p. Eckardt niemożliwość niemieckiego uniwersytetu we Lwowie, to trudno pojąć, jak powody, które przytacza za jego zniesieniem, mogły mu się wydać dostatecznymi, i jakie to były owe argumenta polskie, które go przekonać nie mogły. Tylko niemiecka stronnicość mogła go zaślepić przeciwko jednemu rozstrzygającemu dowodowi, że liczba słuchaczy, blisko dwa razy większa we Lwowie jak w Krakowie, pokazuje potrzebę istnienia właśnie tu uniwersytetu, który według urzędowych wykazów jest najliczniejszy po Wiedniu i Pradze ze wszystkich w państwie austriackiem, i nawet po odrzuceniu teologów jeszcze uniwersytetowi w Gratzu prawie dorównywa, a uniwersytet w Insbrucku przewyższa, to, że był w celach germanizacji założonym a gdy ich spełniać nie może, winien być usuniętym, może być dowodem tylko dla kogoś, który taką germanizacją za rzecz pożądaną uważa; a dowód iż utrzymuje się z funduszków państwa, pomijając już, że dowód ten jest w części przynajmniej nieuzasadniony, chyba by wtedy mógł mieć znaczenie, gdyby Galicya do tych funduszków wcale się nie przykładła; gdy tymczasem wiadomo, że Galicya stosunkowo więcej płaci podatków niż inne kraje austriackie, i stosunkowo mniej z kas państwowych na swe cele otrzymuje. Chyba więc mniemałoby wypadało, że pan Eckardt o tem wszystkim nie wiedział, i ztąd do takich doszedł rezultatów: jakoż w istocie przyznaje, że znacznie później te okoliczności co do uniwersytetu poznał, we Lwowie zaś głównie się ruskimi sprawami zajmował. Temu co spotkał między Rusinami, najwięcej też miejsca poświęca przy opisie Lwowa. Pójdźmy tu za nim, gdy i dla nas przecież te rzeczy nie są zbyt znanymi.

W instytucie Staupigiańskim, dokąd się najprzód zwrócił, wskazano mu Narodny Dom, jako najodpowiedniejsze miejsce informacji. Szczególna rzecz, iż dziwi się temu, że przyjmująca go w Staupigii panienska lepiej po niemiecku niż po moskiewsku mówiła, bo choć *russisch* używa zarówno na oznaczenie moskiewskiego jak ruskiego języka, to jednak kiedy o sobie mówi, niewątpliwie moskiewski rozumieć należy; przecież w dalszym ciągu powiada, iż w obcowaniu z Rusinami swej moskiewszczyzny używał. Oto opis wizyty w Narodnym Domu.

„Młodzież szkolna, bawiąca się w sieni, słucha uważnie zapytania cudzoziemca po moskiewsku (znów *russisch*) mówiącego, i prowadzi go na pierwsze piętro, gdzie pewna liczba młodych ludzi zajmuje się naradą co do zapowiedzianego „muzykalno-deklamacyjnego wieczorka z tańcami“. Jeden z tych panów, którego mowa więcej jest zrozumiałą z powodu wybitnego wielkorosyjskiego akcentu, okazuje gotowość wprowadzić do klubu nieproszonego gościa i dopuścić go do współdziałania w przyszłej uroczystości. Dla mnie, który o tym klubie od wielu lat już słyszałem, i tylokrotnie czytałem jego pochwały po moskiewskich dziennikach, było już pierwsze przejście się po jego lokalnościach nadzwyczajnie zajmującym. Główna komnata jest wielką salą, w której wiszą portrety naturalnej wielkości jakiegoś narodowego metropolity i cesarza Franciszka Józefa, trzeci tam wiszący obraz był zasłoniętym i miano tego wieczora go odkryć. Tej sali jednak używa się tylko przy uroczystych obchodach, albo gdy ma się odbyć wieczorek tańczący lub przedstawienie teatralne wędrującej po wschodnio-galicyjskich miastach trupy; oficjalna powierzchność tej sali nie przypada do smaku patriocie rusińskiemu, który pragnie zaspokoić w klubie swe idealne potrzeby. Ta sala przeznaczona dla świata, dla serca zaś przyległy mniejszy pokój, do którego teraz wchodzimy. Na stole w środku stojącym leżą dzienniki, i to takie, jakich potrzeba dla gorliwego świętojurcy, obok *Neue freie Presse* i *Fremdenblattu*, reprezentujących żywioł niemiecki, jaśnieją tu w całym swym blasku *Moskowskije Wiedomosti*, ten polityczny katechizm każdego prawdziwego Moskala, który trzysta razy do roku się ukazuje; petersburskie *Birżewnije Wiedomosti*, równie odznaczające się gorliwością panslawistyczną jak stanowczością protekcyjnistowską *Gołos*; jednym słowem, cały kwiat narodowo moskiewskiej prasy. Na prenumeratę kosztownych moskiewskich pism miesięcznych, nie starczy niestety fundusów towarzystwa, jak o tem przyjazny cicerone poucza, ale ku

świadczeniu, że sfera moskiewskiego wpływu i moskiewskiego ducha nie kończy się bynajmniej na granicach państwa, którem władza car prawosławny, panslawistyczne dziennikarstwo pozamoskiewskie jest tu reprezentowane w komplecie; *Słowo*, *Uczitiel*, *Swiet*, ruski tyg. wychodzący w Unghvar, we wschodnich Węgrzech, oraz wszystkie inne galicyjsko-ruskie pisma; również polskie pismo *Sławianin*, którego panslawistyczny kierunek jest równie znanym, jak i związki jego wydawcy z moskiewskim rządem. Nie brakuje tutaj, równie wiedeńskiej *Zukunft* i *Osten*, dwóch niemieckich organów słowiańskiego poczucia się szczepowego, bo z nich dowiaduje się lwowski czytelnik z wielką dokładnością, że i w Serbii, Bułgarii i t. d. bracia Sławianie równie jak on cierpią — i mają nadzieję.

„Jeszcze zaś charakterystyczniejszem niż ten stół z dziennikami, oblegany przez większą liczbę młodocianych po większej części czytelników, jest przyozdobienie ścian tego pokoju, w którym samo jądro lwoskiej partii rusińskiej zbiera się co wieczór na grę w karty lub na poufną gawędę. Oficjalnemu światu austriackiemu dano na odczepne portret cesarza w sali; — tu urządzono się tylko pociąganiem serca. Kogo mają przedstawiać owi dwaj średniowieczni bohaterowie na olejnych obrazach bez ram, nie mogłem się dowiedzieć; nie wątpię, że król Daniel i Lew halicki, którzy tu ruską przeszłość wschodniej Galicji reprezentują. Za to tem bardziej znanymi i których niepodobna nie poznać, są mężowie przyszłości, spoglądający z dwóch innych obrazów o złotych ramach. Jeden przedstawia cesarza rosyjskiego Aleksandra II w mundurze husarskim, otoczonego portretami wszystkich swych ministrów; drugi pokazuje rysy wygolonego, słodko i przyjaźnie spoglądającego człowieka w cywilnym stroju. Z łagodnym wyrazem twarzy dumną sprzecznosc stanowi zimne spojrzenie tych małych jasnych oczu, tylko nowożytny fanatyk reflexyi może tak wyglądać. I rzeczywiście jest nim też: to Mikołaj Miliutn, moskiewski radca tajny i sekretarz stanu dla Polski, twórca systemu agrarycznego, który ma złamać siłę rewolucyi na Litwie i w Królestwie polskiem i położyć podwaliny dla słowiańskiego państwa przyszłości. Ze portret tego człowieka w tem miejscu wisi, bezustannie spogląda ku cesarzowi rosyjskiemu, to znaczy więcej niż najdokładniejszy, najszerszy program. W nazwisku Miliutna mieści się wszystko, czego się galicyjski Rusin od przyszłości spodziewa; zniszczenie wpływu arystokracji polskiej przez nowy podział gruntów, połączenie napowrót kościoła unickiego z grecko-prawosławnym, połączenie wszystkich ziem ruskich pod

sztandarem narodowej demokracji. Taki Miliutin musi się zjawić, żeby z pomocą agrarycznego socjalizmu złamać wiekowe jarzmo polskie i zwrócić Rusinom stracone dziedzictwo ich ojców. Od człowieka tego rodzaju spodziewa się unita upokorzenia swego sąsiada, księdza łaćwińskiego, chłop otrzymania lasów i pastwisk, uczony zniszczenia mańruskich gramatyk, które dostarczają środków Polakom, iż mogą przedstawiać wielko- i mańruską narodowość i literaturę za rzeczy z gruntu różne od siebie, i nie wspólnego nie mające. Wszystko, co tylko ciąży na sercu prawowitemu świętojurcowi, to wszystko zawiera się w nazwisku Miliutina, bo nazwisko to oznacza „wojnę pałacom a pokój chatom“; wojnę, którą mają prowadzić nie jacyś burzliwi bohaterowie klubów i barykad, ale dobrze wyćwiczeni urzędnicy rządowi, żandarmi i oficerowie liniowi,—ludzie, którzy przeszli szkołę Murawiewa i już przeszli swą drogę jako zasłużeni misjonarze sprawy prawosławia i demokracji.

„*Maładiec* (zuch), przerwał mój przewodnik milczące przyglądanie się portretowi, przed którym stanęliśmy. Wspomniałem pokrótce, że już mi pokazywano ten sam portret i to w dworcu michajłowskim w Petersburgu; i pożegnałem się, aby przywdziać odpowiedni strój na wieczorek, który w dwie godziny później miał się zacząć. O siódmej znów stanąłem przed herbowym lwem Halicza. Chociaż sień i schody wiły się od mężczyzn i kobiet zgromadzonych na mającą nastąpić uroczystość, i chociaż wielkie błoto w ciemnych ulicach (oświecenie gazu istnieje we Lwowie tylko z imienia) bardzo pożądanem czyniło użycie pojazdu, nigdzie jednak nie było widać powozu. „Ruscy ludzie“ stanowiący członków i publiczność kasyna lwowskiego, należą bez wyjątku do średniej warstwy społeczeństwa, do biurokracyi, do stanu nauczycielskiego lub duchownego, w pojedynczych egzemplarzach do kupiectwa i nie są majątyni. Ich narodowe uroczystości i patryotyczne przedsięwzięcia stały się jedynie w ten sposób możliwymi, iż ludność rusińska a szczególnie duchowieństwo odejmowało sobie od gęby w najściślejszem znaczeniu tego słowa, żeby zyskać środki i ponosili ofiary, których wielkość, nawet przeciwników zmusza do ich uznania. Zdaje mi się, że nie więcej jak dziesięć z pomiędzy może stu dwudziestu uroczystych wystrojonych uczestniczek w „muzykalno-deklamacyjnym wieczorku z tańcami“ miało jedwabne suknie, a i tych większość była ciemna. Między mężczyznami fraki, lakierowane buty należały do wyjątków; przeważna większość poprzestawała na zwykłym surducie lub długim stroju duchownym. Za to na około widziałeś wesołe twarze; młodzi

i starzy, nawet na wpół dorosłe dzieci cisnęli się w nieładzie. a młodzież szkolna Narodnego Domu stanowiła na trybunie hałaśliwy chór, który dawał równie entuzjastyczny jak nie krytyczny aplaus każdej produkcyi artystycznej tego wieczoru.“

„Może z godzina upłynęła zanim się sala napełniła. Zupełnie w jej niższej części widać było zamkniętą czerwoną zasloną estradę, na której miano śpiewać i deklamować, w rogu po prawej stronie stał zasłonięty obraz, a przed nim para chłopców po narodowemu przystrojonych, którzy spoglądali się na swe fantastyczne płaszcze i czerwono wyszywane koszule ze zdziwieniem wcale nie przekonywująco świadczącym o szczerości tego „ludowego“ kostumu. Jeden z przewodniczących dał znak: przed estradę wystąpił jakiś duchowny w starszym wieku, i odczytał ruską mowę o zasługach patriotycznego metropolity, którego portret miano odsłonić. Chociaż mowca mówił w zwykłym krajowym narzeczu, jednak moja nie zbyt gruntowna znajomość moskiewskiego języka wystarczała, żeby zupełnie zrozumieć jego wykład. Mniej więcej w połowie przestał mowca na chwilę: obadwaj „narodowi“ chłopcy pociągnęli zaslonę obrazu, na którym ukazała się ponura postać księcia kościoła w pełnym ornacie, powitana okrzykami zapału i śpiewem: *mnogije lita*. Potem ustąpiły z estrady śpiewy i deklamacye, których artystyczna wartość była w przecięciu zbyt skromną, żeby przyzywać krytykę, lecz które mimo to powitano grzmiącymi oklaskami. Chórowi śpiewaków, złożonemu z 16 może młodych ludzi, przewodniczył jasnowłosy młodzieniec, pilnie dyrygujący obydwoma rękami; młoda bardzo przyjemna dama, oddeklamowała z pełną wdzięku kokieterią jakiś utwór poezytyczny: „pożegnanie Halicza“, którego zażądano *de capo*; trochę nieśmiały, jeszcze bardzo dziecinnie wyglądający student, wygłosił patriotyczny poemat, ale mówił tak niewyraźnie, żem mógł tylko zrozumieć słowa: „polskie szable“ i „ruska pierś bohaterska;“ współplemiennik z Krainy popisywał się z produkcjami na cytrze, których niemieckiego charakteru ani na chwilę zapoznać nie było można, lecz które mimo to (jak ogłoszona nazajutrz w *Słowie* krytyka poświadczała) przyjęto za narodowe. Zakończenie stanowił włoski czyli pseudo-włoski kwartet męzki, którego dosadny humor napełnił słuchaczy burzliwym entuzjazmem. Wtedy — *coram publico* — wyniesiono ławki i stołki, przywołano dwóch służących, którzy z wesołą naiwnością oczyścili podłogę, wśród tumanów pyłu, zaganiając towarzystwo aż w kąty, — umieszczono na estradzie muzykę pułku jazdy stojącego załogą w galicyjskiej sto-

licy, i rozpoczęły się tańce, mające stanowić punkt kulminacyjny tej uroczystości. Pięknie dosyć wyglądało, jak pary się przewijały w kołomejce, która tu zastępuje miejsce blisko z nią spokrewnionego sąsiada, mazura; a nowożytnie tańce towarzyskie wykonywano ze zręcznością, jaką tylko u Słowian i Madziarów spotkać można.“

Po takim dosyć humorystycznym opisie „narodowego“ wieczorku, za który może gościnni przyjaciele z Narodnego Domu nie bardzo będą mu wdzięczni, zastanawia się p. Eckardt nad tem, jak wielkie znaczenie podobne zebrania, mimo ich wewnętrznej niewielkiej wartości, mają dla szerzenia propagandy między obojętnymi; a przy tej sposobności robi uwagę i podaje radę, choć ubocznie, która niewątpliwie zasługiwałaby na uwzględnienie dla nas Polaków, bo nie można odmówić jej trafności, jakkolwiek i tu pewna przesada co do znaczenia świętojurców panuje.

„Jakkolwiek Rusini co do politycznej zręczności i gotowej zawsze do czynu energii równie daleko zostają w tyle za Polakami co do wykształcenia, to jednak nie należy zbyt nisko cenić postępów, które ich organizacja porobiła w ostatnich latach. Naokoło małego kółka przywódców we Lwowie i Przemyślu grupuje się całe (?) grecko-unickie duchowieństwo, a za niem stoi lud trzymiliony głów liczący, który bezwarunkowo słucha (?) każdego skłaniania tego duchowieństwa. Polskie dziennikarstwo, zamiast zabawiać świat wymyślonemi lub przesadzonemi pogłoskami o nieograniczonym panowaniu we wschodniej Galicyi moskiewskich rubli, powinno by sobie wziąć za zadanie zbadać szczegółowo organizację rusińską i podsłuchać ją, jakimi ta środkami panuje nad wiejską ludnością i utrzymuje ją w posłuszeństwie, chociaż nie zupełnie dla jej materialnego pożytku sprawić nie może.“

Rada dobra i uwaga trafna; szkoda tylko, że autor przy tej sposobności nic nie wspomina o środkach propagandy moskiewskiej obok rubli, którym także znaczenie przyznaje; przecież je poznać w działaniu przyjechał. Czy nic nie wiedział ani się dowiedzieć nie mógł, czy też tylko nie chce powiedzieć?

Jeszcze raz zwiedził p. Eckardt kasyno w Narodnym Domu przy sposobności przedstawienia teatralnego: naturalnie smakiem tam panującym nie mógł być zbudowany, choć uważa, że wielu aktorom nie brak talentu. Uwagi jego o teatrze pomijamy, za to może ciekawsze będą niektóre spostrzeżenia z wizyty w trzecim, jak powiada, obok Staupigii i Narodnego domu, centrum Rusinów lwowskich, u św. Jura.

„PrzedSIONKI tej najsilniejszej twierdzy stronnictwa wielkoruskiego (moskiewskiego) są od dziesiątka lat punktem, z którego otrzymuje narodowa propaganda duchowieństwa swe hasło i w którym składa swe sprawozdania. Służba Boża, jaką tu odprawiają, najwyraźniej nosi tę barwę grecką, w której unicy w kraju szukają swego zbawienia. Wprawdzie i tu znajdzie organy i dzwonki przy wielkim oltarzu (co dla każdego prawosławnego za kacerskie zgorszenie uchodzi); ale za to drzwi *sanctuarium* nawet w czasie komunii się nie zamykają, a każdy znawca może poświadczyć, że śpiew kościelny zupełnie tu taki sam jak w Rosyji; *Hospodi pomiluj* zupełnie tu tak samo bywa intonowaniem jak w Petersburgu lub Pskowie!“

Dopiero po załatwieniu się z Rusinami, których poznanie go tu ściągnęło, zwraca się p. Eckardt bliżej do Polaków. Mniej go obchodzący, mniej go też zajmowali, i ztąd zapewne pochodzą różne omyłki, które mu się tu i owdzie zdarzają, gdy o polskich stosunkach lwowskich mówi. Ztąd n. p. ku niemałemu zapewne swemu zdziwieniu i zgorszeniu może się dowiedzieć *Gazeta Narodowa*, iż jest organem Smolki i federacyjnej demokracji podczas gdy ś. p. *Dziennik Lwowski* obstaje przy rezolucyi. Wprawdzie i tu można spotkać trafne uwagi, o tem powszechnem rozerwaniu, które nic dobrego dla przyszłości nie wróży, o wysileniu się na bezużyteczne hałasy i demonstracye, ale obok tego widać wszędzie bardzo powierzchowną i niedokładną znajomość rzeczy, co może ztąd pochodzi, iż pan Eckardt jako Niemiec naturalnie staje po stronie stronnictwa bezwzględnie z Niemcami, i to z centralistami trzymającego, i z jego stanowiska na wszystko się zapatrując, w powszechnym oporze przeciw takim dążnościom, mniema widzieć zgubę dla Polaków: grożąc, iż na pochyłej płaszczyźnie od Ziemalkowskiego do rezolucyi, od rezolucyi do Smolki dojdzie Galicya do powstania, które wnięszanie się Moskwy i zabór Galicyi przez nią sprowadzić musi.

Taką groźbą i niemal przepowiednią kończą się jego wrażenia o Galicyi, dodatek stanowi opis pobytu w Czerniowcach i podobnego na Bukowinie jak w Galicyi szczepowego antagonizmu. Walki narodowościowe w tym drobnym, prawie zupełnie barbarzyńskim kraju, między Rumunami a Rusinami wydawałyby mu się śmiesznymi, gdyby nie to, że przy położeniu pogranicznym tego zakątka na granicy trzech państw mogą dać pozór do starcia między niemi, którego skutki nie dadzą się obliczyć. Z wyrzutem zwraca się autor do niemiecko-austriackiej biurokracyi, że nawet tu nie potrafiła stać się cywilizacyjnym żywołem, choć się zawsze za reprezentanta kultury

uważała i kończy zapytaniem, jaka będzie przyszłość tego kraiku i całej Austrii? Nie odpowiada wprawdzie na nie, ale ze sposobu postawienia pytania widoczna aż nadto, że nic pomyślnego całemu państwu nie przepowiada, i prawie zwątpił o możności jego egzystencji.

Takimi są wrażenia p. Eckardta z Galicyi, i w ten sposób je w obrazach swej podróży przedstawia. Choć się nieraz myli, widz to jednak inteligentny, bezstronny, o ile Niemiec nim być może, i więcej niewątpliwie uzdolniony do patrzenia trzeźwo na stosunki i ich pojmovania, niż cała masa innych jego współplemienników, niż nie jeden z nadających ton w publicystyce niemieckiej jej przywódców, zwłaszcza w sprawach słowiańskiego wschodu Europy. Dla tego zdało nam się, że poznać jego o nas zdanie i dla nas musi być interesującym: czyśmy mieli słusność, sam czytelnik niechaj to osądzi.

LITERACI W NIEMCZECH.

(Ciąg dalszy.)

Z ich pism nie widać nauki a jednak język ich brzmi jak język ludzi, co dzierżą losy świata w swem ręku. Przedewszystkiem starają się o salonowy ton mowy. Wydawałoby się mogło, że się wszyscy porodzili we wyższych sferach a ta pańska mowa jest im wrodzoną; a przecież niejeden pisarz szastający dziś szumnemi frazesami, był niegdyś chudym pacholkiem i nie mało go z pewnością kosztowało pracy, zanim się pozbył domorodnych wyrażeń a nabył zwrotów salonowych. Mimo to mniejszeby to jeszcze było złe ta czcza napuszystość pióra w porównaniu z rubasnością, jaka się z drugiej strony wkłada poczyną do korespondencyj niektórych dzienników. Nie dość gmiunych wyrażeń; często tam nie ma i śladu składni i ortografii.

Rzadko napotkać można pisarza, któryby nie był co najmniej doktorem filozofii. Być może, że żaden z wielu niemieckich uniwersytetów nie wie o ich promocyi, lecz geniusz dyplom na doktora sam sobie zazwyczaj wydaje. Większa część tych panów ozdobionych literą Dr. nie zapłaciła nawet owych 100 florenów, jakie na doktorskim młynie w Jena ten dyplom kosztuje. Cały świat znajduje rzecz tę w porządku, tylko czasem złośliwa policya robi z tego skandal. Redaktor wiedeńskiej „*Morgenpost*“ figuruje od lat wielu na swoim czasopiśmie jako „Dr. Landsteiner“. Nie dawno temu ów Dr. Landsteiner został zapozwany w jakiejś sprawie przed kratki sądu wiedeńskiego. Urzędnicy sądowi, zaczęli kogo przesłuchają, mają zwyczaj żądać sprawozdania policyjnego o nim. Skoro tedy redaktor „*Morgenpost*“ przedstawił się urzędnikowi sądowemu, przed którego był wezwany, pytał go się tenże: „z kim mam przyjemność mówić?“ Zapytany odrzekł ze zupełną pewnością siebie: „Dr. Landsteiner“. Sędzia ze sprawozdaniem policyjnym na stole, odpowiedział zimno i

spokojnie: „Jedno i drugie nie prawda. Ani się pan zowieś Landsteinerem, ani jesteś Doktorem. Nazywasz się pan Schnutti i jesteś niczem.“ Odkryty Doktor prosił na Boga, aby ta tajemnica nie przekradła się do publicznej wiadomości, gdyżby się z niego naśmiewano. Mimo to „Vaterland“ o rzeczy rychło poznamojoncy, wyjawił prawdziwe nazwisko redaktora. Pan Schnutti jednakże jak dawniej tak i teraz zapiera się swego nazwiska i ciągle jeszcze podpisuje się pod swem czasopismem jako Dr. Landsteiner. Nie należy sądzić, że takie rzeczy tylko w Niemczech mają miejsce, nie potrzeba daleko szukać, piękne rzeczy tak bliskie....

Szczególniejszym zaczynem w literaturze, rodzaj assa-foetida, który, wrzucony w masę, powiększa odkwaszanie, są żydzi. Mozaizm porzucili, a chrześcijaństwa nie przyjęli, pozostała im więc jedyna gwiazda przewodnia: złoty cielec. Chrześcijańskim pisarzom, chociaż formalny rozbrat z chrześcijaństwem uczynili, pozostał jeszcze we krwi jakiś zapas zachowawczego pierwiastku, owoc tysiącletniej chrześcijańskiej oświaty; złoty cielec nie zna żadnego wstydu i żadnej cnoty. Poczucie godności spi w żydzie jak chłop w czasie kazania. Umysł żyda skłania się więcej ku analizie aniżeli ku syntezie, rozkładanie przychodzi mu łatwiej niż składanie — przeczenie stanowi jego siłę, gdyż w tem ćwiczył się od 1800 lat. Ta skłonność ku skepsis tłumaczy ów brak siły twórczej u żyda: człowiek co rad wszystkiemu przeczy, nie tworzy chętnie — krytykuje. Ztąd nasza prasa to dla żyda rzecz na kształt skoszonej łąki, gdyż jak widzieliśmy, wszystkie owoce prasy są negatywnego rodzaju. Żyd posiada wiele talentu, *l'esprit*, jak się Francuz wyraża, o ile ten talent gra rolę śmieszka, błazna u panujących myśli. Talmudystyczne studia rozwijają i żywią tę zdolność. Safir swych dowcipnych igraszek słów nauczył się z Talmudu. Żydowi zbywa na geniuszu daleko widzącym, twórczym, ale ma dowcip i zmysł kombinacyjny, owe służki rozumu, przebiegłe, zwinne a chytrności pełne. Dar kombinacji włada nad chwilą a ztąd i nad prasą, bo nic bardziej nie jest łupem chwili, jak prasa. Dla tego żyd polityk trzyma się w swej polityce zawsze tego, co chwilowo popłaca; wielkodusznych zasad, natchnionego poglądu w daleką przyszłość nie ma on wcale. Dla tego to „nasi obywatele“ tak są zręcznymi w drobnych zawodach umysłowych: są zręcznymi aktorami, zręcznymi muzykami, zręcznymi finansistami, zręcznymi kupcami, zręcznymi żurnalistami. Mimo wszechstronnego równouprawnienia, żyd nie ma ojczyzny, nie ma rodzinnego gniazda — gdziekolwiek matka wydała go na świat, zawsze to nie była jej rodzinna ziemia, bo Ahasverus włóczy się z kraju do kraju, od czasu jak niemiłosiernie zmęczonemu Jezusowi odmówił wypoczynku. I śladu uczucia rodzinnego nie masz w piersiach żyda — w Portugalii nie jest Portugalczykiem, w Turcyi nie Turkiem, w Polsce nie Polakiem, w Niemczech nie Niemcem, — wszędzie jest żydem, czystej krwi żydem i dla wszystkich narodowości jedno i to samo żywi uczucie. Religia, ojczyzna, monarchia, wszystko to tyle ma dla żyda wartości, ile mu przynosi zysku. Żyd jest istotą wykluczoną z religii, ze społeczeństwa, z państwa. Ztąd też widziiny zawsze żydowskich pisarzy w pierwszym szeregu tam, gdzie chodzi o gaszenie światła a wzniecanie ognia. Żydzi przedstawiają w świecie literackim wszystkie barwy czwartego stanu, a liczba literatów żydowskich tworzy już legion. To są fabryczni robotnicy, panowie fabrykanci są czemś innym.

(C. d. n.)

ZAPISKI Z LITERATURY FRANCUZKIEJ.

Mémoires de Griscelli de Verrani, dit le Baron de Rimini, ex-agent secret de Napoléon, Cavour, Antonelli, François II et de l'Autriche. — Bruxelles, in 8vo s. d.

Nic wstrętniejszego jak ten cały szereg broszur i dzieł niby historycznych, biograficznych i pamiętnikowych, jakie pojawiają się bez liczby po upadku dynastyi, kolejną rządzących Francją. Niema w Europie kraju, w którymby nie tylko panujący ale rodziny stojące u steru, zmieniały się tak szybko jak we Francyi, bo i niema narodu tak niecierpliwego i zmiennego jak Francuzi. Jedna namiętność między innemi nie ulega zmianie, jest nią zazdrość. Nikt tak nie prawi wiele o demokracji jak Francuz, a nikt nad niego za tytułami nie goni, nikt tak nie pragnie wywyższenia jak on, nikt tak wywyższonemu nie zazdrości. Ztąd od wieków ten pochop do potwarzania w ulotnych pismach, świstkach i broszurach, które niegdyś drukowały się w Londynie, Antwepii, Gandawie itd., dziś w Brukselli, Genewie i Londynie. Potwarz nie bronią, której żyć nikt się nie waha. By więc zamknąć drogę do powrotu spadającej z tronu rodzinie, nie zaniebujają Francuzi oczernić ją i zohydzić. Tak dalece weszło to w zwyczaj, że Rząd obrony narodowej, jako rząd odważył się wydrukować znalezione w Tuilleriach papiery. Komuna również wyznaczyła była komisję do ogłoszenia znalezionych papierów po rządzie Trochu i Favre'a. Rodzinne stosunki panującej dynastyi, jej życie domowe, najświętsze tajemnice, najdrobniejsze szczegóły roztrząsają się publicznie, przekręcają, fałszują, a okraszone lekkim a zjadliwym dowcipem, uwinięte w potoczny i elegancki styl, zręcznie zrywane w dramatycznych ustępach zaciekawiają gawiedź, która cieszy się, że może znaleźć sposobność i powód do wrzasku na tych, którym musiała być się kłaniać. Smak do skandalów, do wglądania w zakulisy dworskiego życia, istniał we Francyi jeszcze przed Ludwikiem świętym, istnieje on nawet we wszystkich stolicach. Ale nie jest on nigdzie tak eksploatowany tendencyjnie i bezczelnie jak dzisiaj we Francyi. Co najbujniejza wyobraźnia pokątnego pismaka może wymyślić brudnego, skandalicznego i ohydneho, wszystko to znajdzie czytelnik w tych pismach, zacząwszy od gazetek holenderskich, Mazarynad, rewolucyjnych pamfletów aż do broszur z 1831, 1848 i 1871. A że zepsute podniebienie dzisiejszej publiczności potrzebuje bardzo pociągającego tytułu, wydawca, który wie o powodzeniu pamiętników Vidocq'a, Kanler'a i innych, musiał postarać się o pamiętniki pisane przez jakiegoś przedstawiciela tajnej policyi. Taka jest, zdaje nam się, genealogia książki, o której mamy mówić. Mielśmy już i dawniej sposobność ocenić wartość pamiętników, które wychodziły niby z pióra wszystkich figurantek dworu Ludwików, później wszelkiego gatunku dyplomatów, marszałków Francyi, ich żon, ciotek i bratanków, od czasu wreszcie owych sławnych pamiętników Talleyranda, które miały wyjść w 50 lat po jego śmierci, a wychodziły prawie co dwa lata i zawsze prawdziwe a zawsze zupełnie różne, dla tego z pewną oględnością bierzemy pamiętnik do ręki i nie wszystkiemu wierzymy, co autor w nim twierdzi.

Nie zupełną też wiarę dajemy p. Griscelli de Verrani, dit le Baron de Rimini.

Znakomity ten dyplomata (!) urodził się w Korsyce. Znalazłszy się po wyjściu z wojska w Paryżu, po wielu nieczystych sprawkach udaje się naturalnie do Korsykanina Pietri. Ten, jako prefekt policyi, robi go również naturalnie policyantem tajnym. Jako taki, pastuch korsykański odznacza się natychmiast — przywiązaniem do osoby cesarza Napoleona, nie odstępując go na chwilę i daje dowody największego dlań poświęcenia, zabijając własną ręką Kelche'a, Moreli'ego, przybyłych do Paryża dla zamordowania cesarza. Przeszywa sztyletem nasadzonego u księżnej Castiglione mordercę, który miał zakończyć nożem rendez-vous cesarskie. Za każdy podobny akt otrzymuje od cesarza po kilka tysięcy franków i zbiera sobie 130.000 fr. majątku. Ale Pietri zostaje usunięty — i z nim drażliwego serca Griscelli. Oburzony do najwyższego stopnia niewdzięcznością cesarza, mści się na nim i na jego dworze, przesuwając na pierwsze danie w swym pamiętniku całą galerię skandalicznych anegdot o osobach wplątanych w dramatyczny żywot Napoleona. Następnie porzuca niewdzięczną Francję, która źle zapłaciła korsykańskiego pastucha i przenosi się na żołąd Cavour'a. Naturalnie, że co tylko może znaleźć skandalicznego na dwór piemoncki i na ludzi stanu, wszystko to starannie opowiada, co mu nie przeszkadza brać udziału we wszystkich intrygach mających na celu powiększenie Sardynii, intrygach kierowanych przez piemonckiego ministra.

P. Griscelli rozpoczyna służbę u Cavour'a, szpiegując Napoleona podczas całej kampanii włoskiej — skok dosyć wielki. Użyty do wywołania buntu w Modenie, Parmie, Bolonii, Florencji wywiązuje się doskonale z zadania którego wykonaniem zajęty, drwi z całej roboty, błotem rzuca na ludzi z którymi żyje, bawi się i pracuje. W Bolonii, gdzie przygotowuje rewolucję, nie zaniedbuje być także u kardynała Viale. Nareszcie jedzie do Rzymu jako agent Cavoura, by wysledzić zamiary rzymskiej kuryi — wciska się do kardynałów, staje się agentem policyi papieżkiej (!?), odkrywa i oddaje w ręce władz miejscowych innych agentów piemonckich i Komitet rewolucyjny, ale czyni to z pozwoleniem Cavoura; i z dwóch stron bierze zapłatę i obie strony szkaluje. Dopuszczony do ucałowania ręki papieżkiej i stołu książąt Kościoła (!?), wypłaca się za gościnność, opowiadając, jakoby kardynał Alfieri proponował mu zamordowanie Napoleona i Garibaldeggo. Wchodzi następnie w stosunki z hrabią Trappani i Franciszkiem II, którzy wysyłają go z dwoma bandytami, by zgładzić Garibaldeggo (!?). Tu polityczny agent z dumą powiada: „Zdolny policyant może być płatny na raz przez Cavoura, przez Papieża, przez króla neapoitańskiego i podróżować kosztem Garibaldeggo, którego jedzie zamordować.“

Trudnoby było zdać sprawę z innych wypraw z zdolnego agenta. Służy on bowiem z kolei Franciszkowi I, dworowi rzymskiemu, Austrii itd. Wspomniemy jeszcze i o tem, że nawet Polsce służył. Widać, do galerii krajów, które zdolnościami swymi popierał, brakło mu Polski. Opowiada nam więc kłamiwą historję o wysłaniu go do Warszawy przez księcia Czartoryskiego, który go ostatecznie wyrzuca za drzwi, czego nie tai, jak też nie tai dzięki Bogu swej ku nam nienawiści. Sens moralny książki jest taki, o jakim autor nie myślał. Ten bowiem, który miał do czynienia z kardynałami, ministrami, który jadał z panującymi objady, spada nagle z tych wysokości — ten upadek boli go niezmiernie i to zdaje się być karą za jaką sam świat nawet, nikczemnikom i zbrodniarzom płaci.

Marc Debrit. *La guerre de 1870, notes au jour le jour, par un neutre.*
(3 éd. Genève, 1871, in 8vo).

Jak sam tytuł wskazuje, jest to zbiór artykułów pisanych w ciągu wojny i zebranych w pewną całość. Nic nowego w tem dziele, ale za to pojedyncze ustępy, pisane pod wrażeniem wypadków, uprzytomniają wzruszenie jakie ta walka oibrzymia budziła w czytelnikach obu pół kół świata. Sąd spokojny, umiarkowany, rzeczywiście bezstronny, choć autor widocznie pragnął zwycięstwa Francji; uwagi i rozumowania pełne rozsądku i trafności zalecają tę pracę szwajcarskiego dziennikarza. Nadewszystko jednak cenimy staranność i sumiennność z jaką przedstawia wypadki tendencyjnie wykręcane przez prasę obu wojujących narodów. Cały przebieg operacji wojennych aż do bitwy pod Sedanem przedstawiony jasno i zwięźle; załączone plany dopełniają opowiadania. Dokładne też powzięć można wyobrażenie o kampanii Manteuffla w Normandji, Fryderyka Karola nad Loarą i Werdera walczącego z Bourbaki'm. Ciekawy jest niezmiernie ustęp, kreślący stan armii Bourbaki'ego, rozbitej i cofającej się do Szwajcaryi. W szeregu klęsk, jakie zasmucają sympatyzującego z Francją czytelnika, przy bolesnem widoku zmrozonej, zgłodzonej armii, bezładnie tułającej się wśród gór, doznaje się pewnej ulgi i pociechy. Wśród czarnego tonu obrazu, pięknie odbija ta serdeczna gościnność, to współczucie dla nieszczęścia, ta hojność małego i biednego kraiku. „Wybiegano daleko na drogę, na spotkanie znękanym francuzkich żołnierzy z misami gorącej zupy i ze łzami w oczach“. Jest-to fakt godny uwagi, że w dzisiejszej Europie jedna polska ludność okazała bezinteresowną ofiarność — choć bezsilna i spętana; jeźna Szwajcaryja, słaba i maluczka nie uległa się zwyciężkiemu, chciwego i gburowatego Prusaka, pijanego pychą i szczęściem. — W książce p. Debrit zebrane są wzruszające szczegóły tego 1812 r., którego Francuzi w własnym kraju doznali.

W jednym tylko nie zgadzamy się z autorem. Przypisuje on klęski wielu różnym przyczynom i prawi o patriotyzmie Francuzów. Oprócz Paryża, gdzie rzeczywista miłość ojczyzny rozżarzyła się przy ogniu granatów i bomb, patriotyzmu prawdziwego nie było. Zasady rewolucyjne, brak religijnego wychowania, rozkiełzanie prasy, ośmnaście lat niecnym rządów Ludwika Filipa i dwadzieścia lat Napoleońskiej polityki zmroziły szlachetne popędy francuzkiego narodu. Z tego *soldat du bon Dieu* zrobiły chciwego zysku przekupnika, dumnego półpanka i samoluba, który życie nazywał użyciem czy też przeciwnie. Dziś gdy prawie wszędzie narody same się prowadzą, a władze polityczne są tylko mandataryuszami, ciężar win spała na całą ludność — a klęski lub niepowodzenia są spowodowane tylko brakiem poczucia, znajomości i spełnienia obowiązków. A brak ten pochodzi z braku moralności w życiu prywatnem przedewszystkiem, a potem i w publicznem. A u nas czyż lepiej? — Czyż nie byłoby lepiej, gdyby?.....

Y.

Z WIELKOPOLSKI.

(Lipiec).

(Pp. Kuleczycki i Kraszewski. — Ostatnie słowo *Tygodnia Drezdeńskiego*. — Chrześcijańska miłość p. Kraszewskiego. — On, *Kraj* i Feldmarszałek książę Barjatyński. — Michalina i Zbyski w Zagadkach.

W ostatnim moim ztąd liście, pisanym w początkach czerwca, przytoczyłem wam, jakby z przewidzenia, co ma nastąpić, obszerny wyjątek z gorącej za władzą doczesną przemowy, którą przed dziesięcioma laty ogłosił jeden z naszych rodaków, dziś należący do najzapalczywszych gorliczów przeciwnego obozu. W kilka dni bowiem po wysłaniu mego listu rozpoczął tenże autor drukować w drezdeńskim *Tygodniu* szereg artykułów, w których stawia wręcz na odwrót wszystko, co dawniej w pomienionej rozprawie pisał; powtarza cały szereg baśni i oszczerstw, jakie najzjadliwsza część dziennikarstwa włoskiego od lat dziesięciu na papieżstwo, kościół i duchowieństwo natworzyła, i w dodatku okrasza je własnymi wymysłami, rzekomo ze stosunków polskich ze Stolicą Apostolską zaczerpniętymi. Autor przyznając się do zupełnej zmiany w kierunku, powiada, że jeśli niegdyś tak gorąco bronił władzy doczesnej, czynił to jedynie z wyższych potrzeb i względów, gdyż należało wtedy, bądź co bądź utrzymać i wzmocnić sojuz Polski ze Stolicą świętą. Pomijając oczywiście ztąd wniosek, jakoby sojuz ten dziś już był mniej potrzebnym, godzi się zrobić uwagę, że jeśli wówczas pisało się z wyższych potrzeb i względów, to teraz, skoro się przyjęło wręcz przeciwny kierunek, musiały one stać się niższemi, a może i bardzo niskiemi. Śmiesznym przechwałkom, bredniom i potwarzom, rozsiewanym od lat tyłu przez brzuchomowę, odzywającego się przeróżnemi głosami po wszystkich bezbożnych dziennikach, a tu raz jeszcze powtórzonym, dziś już nikt nie wierzy, nie wierzą nawet ci, którzy z nich korzystają i do których one są umizgiem. Ten co śmiał wymyśleć wizytę OO. Zmartwychwstańców u w. księcia rossyjskiego, zamach tychże na życie pana A. W. (który dziś przez swe ożenienie we Florencyi dał najlepszy dowód, że się władza duchowna nie myliła, gdy go do święceń kapłańskich przypościć nie chciała), następnie powzięty przez tychże zamiar otrucia O. Michała Dąbrowskiego, i tysiączne inne potworności, stracił już wiarę nawet u najlekkomyślniejszych. Można więc bez najmniejszej troski pominąć te trzy listy o Rzymie, któremi dokonał swego biednego żywota *Tydzień* drezdeński. Ale czego pokryć milczeniem nie godzi się, i czego nikt nawet w korespondencje soborowym do *Tygodnia*, a tem mniej w p. Kraszewskim nie przypuszczał, to tej zapamiętałości, która w chwili właśnie, gdy niemal cały świat katolicki, a w części i różnowierczy, składał Ojcu św. jubileuszowe życzenia jak najdłuższego życia, nakazała jednemu panu K. pisać a drugiemu drukować pod dniem 11 czerwca najobelżywsze przeciw temuż papieżowi zarzuty, zakończone bluźnierczym wykrzykiem: „A by nade-

wszystko minęło to nieszczęsne Piusa IX panowanie!“ Nie ma co mówić, szlachetne uczucie, mądre życzenie i pora jak najzreźniej wybrana! Ostatnie to słowo, epitome, testament, i główny tytuł *Tygodnia* do pamięci współczesnych i potomnych. Najlepiej też z niego wyczyera zamiar i treść tego pisma, które przez półtora roku starało się wszystkimi sposobami zerwać naszą jedność ze Stolicą Apostolską, zaszcześcić jakąś nową narodową religię, a rozbiwszy duchowieństwo, postawić kościół polityczny, i jako najskuteczniejszy ku temu środek usiłowało najprzód zohydzić Piusa IX w obliczu narodu naszego. Ale zamiar zpelzł haniebnie na niczem. *Tydzień* upadł sromotnie, miotając przed swym końcem, jak zły duch, same złorzeczenia i przekleństwa. Warto dla przestrogi wspomnieć nieco o tych jego przedśmiertnych kurczach i szaleństwach. Widząc że obrońców religii i Kościoła nie pokona, począł najprzód zaklinać, aby pism katolickich nie czytano, a nakazywać dziennikarstwu radykalnemu, aby o nich nigdy jednym słowem nie wspominało, co mu jednak, pełnemu zawsze najdziwniejszych sprzeczności, nie przeszkodziło w ostatnich numerach uskarżać się na dzienniki „obowiązujące się choćby wspomnieniem nadać rozgłos współzawodnikom“ (Nr. 23), bo każdy z nich się oddziela, osamotnia ignoruje, aby siebie uczynił jedynym, najważniejsze kwestye, jeśli wystąpiły na jaw w organie współzawodniczącym, mijając milczeniem lub wzmianką przygłuszającą (Nr. 26). Następnie, w braku argumentów, jał miotać przezwiskami *Czasowi*, do tyłu innych poprzednio nadanych przydomków, przyczepił w końcu na dobitkę miano starego rzezańca. I was nie pominął w swym tehu ostatnim. Powiada, że wasz *Przegląd* został „ufundowany dla trafiki mszami.“ Nie dziw, że człowiek, który nic nigdy darmo nie zrobił i nie napisał, nie może zrozumieć waszej szlachetnej przysługi, jaką przykładem księdza Migne i tyłu znacznych wydawców, oddajecie uboższym kapłanom, przesyłając im wasze pismo gratis, z prośbą jedynie o mszę św. lub modlitwę na waszą intencję. Nareszcie czując już ostatnie dreszcze, chciał jeszcze nadać sobie pozór życia, przepowiadając swym przeciwnikom zgon bliski. Paralitykowi, kościotrupowi *Czasowi*, oddawna już śmierć zwiastował. *Tygodnikowi Katolickiemu* straszny wyrok obwieścił: „Opryszek pójdzie w las i tam sobie z głodu skona“. A zawzięty na życie nie tylko pism katolickich ale i całego stronnictwa dochowującego wiare kościołowi, bluzgnął mu w oczy tem szlachetnem pożegnaniem: „Potrzebujemyż walczyć z nim, troszczyć się i posiłkować mu rozgłosem?.. Niech ono stanie się kastą zamkniętą i powoli wymiera na moralnej banicyi“. I tak to ten, co swe nienawiści i gniewy pokrywał obłudnem apostołowaniem miłości, nie mógł inaczej skończyć, jeno życzeniem śmierci i zagłady dla swych przeciwników. Runął więc *Tydzień* wśród ogólnego pośmiechu, albo raczej litości, a redaktor zesłiznął się tam, gdzie go oddawna czekał tron zasłużony, dwór odpowiedni i należne wawrzyny. Zygmunt Krasiński, pomnąc na lepszą jego przeszłość, niezawodnie przystosowałby teraz do niego znane swe wiersze:

Z Chrystusowej spadł Kalwaryi
Do żydowskiej kancelaryi.

Ale i tam dezorganizator pewnie popasać długo nie będzie: jego bowiem zadaniem jest przerzucać się wciąż z miejsca na miejsce, wszędzie wicherzyć i rozdwajać, wszystko poczynać a niczego nigdy nie dokonywać. Dziś głównym celem jego poządliwości jest Poznań. Chciałby powetować klęskę, jakiej doznał w czasie ostatnich wyborów. Dreczy go, że pomimo półtorarocznej *Tygodnia* pracy, znalazło się tu w jednej chwili dwakroć kilkadziesiąt tysięcy podpisów uznających Papieża królem. Zaczną się najprzód niby dorywcze i przelotne wizyty, później nastąpią co raz częstsze i dłuższe, znajdzie się dalej ucztą i radykalne owacy, nalegania, aby się między nami osiedlił, potem współpracownictwo w *Dzienniku*, może i naczelne redaktorstwo, a w końcu nowa kandydatura do sejmu. Gdy tę osiągnie, albo raczej gdy i ta spełniona na niczem, ale gdy się dobrze wszystko zawichrzy i zajątrzy, wtedy sprawca całego zamieszania cofnie się z udaną godnością miłośnika zgody i pokoju... może do Lwowa... a zamtąd już chyba do, daj Boże, oswobodzonej Warszawy. To ostatnie przypuszczenie przypomina mi okoliczność, która tu niedawno była przedmiotem wszystkich rozmów. W marcu czy kwietniu rozniosła się po Warszawie pogłoska, jakoby książę Bariatyński miał jednemu obywatelowi powiedzieć, że skoro na miejscu Berga zostanie namiestnikiem, przyzwie zaraz p. Kraszewskiego, aby w jego zamiarach wpływał na opinię publiczną. Łatwość, z jaką ta plotka rozeszła się po Królestwie, dowodzi poniekąd, co tam sądzą o panu K. Nikt jednak z poważniejszych ludzi nie uwierzył jej, nawet wtedy, gdy się w *Tygodniu* pojawiły następujące wielce znaczące wyrazy: „Wątpimy bardzo, ażeby księciu feldmarszałkowi miano ofiarować generał-gubernatorstwo; a gdyby się sprawdziła wieść, tylko, powinszowacby należało królestwu“. W ślad potem ukazały się w *Kraju* artykuły naklaniające emigrację do przenoszenia się do królestwa i wynoszące wyższość intelektualną i moralną Moskwy nad Polską, a jednocześnie wykrył się udział redaktorów tegoż pisma w paslawistycznych zabiegach, które jakiś podróżujący po Galicyi konsul francuzki prowadził. Na domiar przyszło w sam raz oświadczenie p. Kraszewskiego, że wchodzi do redakcyi z zaręczeniem *Kraju* „iż gdy w kwestyach zasadniczych podziela przekonania tego dziennika, w zapatrywaniu się też na ich rozwinięcie, różnić się będzie.“ Dziwny zaiste zbieg okoliczności, a przecież żaden z dzienników konserwatywnych i katolickich nie podjął tej łatwej sposobności oddania wet za wet tak bezwzględnemu przeciwnikowi, nikt z naszej strony nań najlżejszego podejrzenia, owszem każdy z oburzeniem, jak i ja w tej chwili to czynię, odpierał wszelkie uwłaczające w tym względzie domniemania. I tak też przystało każdemu, co szanując sam siebie, umie i przeciwnika szanować. Godzi się jednak zapytać, gdyby podobna pogłoska, gdyby nie już cały ten uderzający zbieg wypadków, ale jeden z nich tylko najdrobniejszy szczegół, przyczynił się był do którego z konserwatystów lub gorliwych katolików, jakież to akt oskarżenia byłby p. Kraszewski wystosował przeciw niemu, ba, nawet przeciwko całemu katolickiemu stronnictwu, a może i przeciw Kościołowi i Papieżowi, on, co bez najmniejszego powodu, jakoby z pustej igraszki,

wciąż pomawia swych przeciwników o przemieszanie i odstępstwo sprawy narodowej. Ale w pysze i zarozumiałości mniema on, że mu wszystko wolno, i że co innym byłoby hańbą, to jemu za chwałę i zasługę poczytanem być winno. Oto właśnie skończył on drukować w *Dzienniku* swoją powieść *Zagadki*. Mdma, cikliwa, bez planu, bez najmniejszego błysku dawnych autora zdolności, wydaje się ona tylko zbiorem politycznych artykułów *Tygodnia*, rozwodnionych w długie i nużące rozmowy. Bohaterem jej jest Zbyski, człowiek bez charakteru, niezdolny niczego poważnie przedsięwziąć, w niczem wytrwać, igraszka okoliczności i chwilowych wrażeń, wędrujący po całej Polsce w celu osiedlenia się gdziekolwiek, ale nie umiejący się nigdzie zatrzymać, skutki własnej niemocy i niedołęztwa woli przypisujący wszędzie złemu przyjęciu i odstępstwu rodaków; zgola istny wizerunek samego autora. Bohaterska powieść, *Michalina*, istota pełna czułości a zarazem i męskiej siły, gorąca patryotka, nieprzypuszczająca żadnej styczności z Moskalami ani żadnych ustępstw z wiary i nadziei narodowych, najkliwsza towarzyska i opiekunka dla swej przybranej a Zbyskiego rzeczywistej matki, zakochana w tymże ale nieśmiejąca mu się narzucać, gdy on zwykłym trybem słabego charakteru wciąż się waha poprosić o jej rękę, pomimo widocznych życzeń matki i widoczniejszych jeszcze uczuć *Michaliny*, — otóż ta Polka, taka, jakimi autor chciałby mieć wszystkie, nagle przy końcu, ni ztąd ni z owąd, bez najlżejszego powodu, opuszcza tajemnie tę ukochaną matkę, daje się wykraść Moskalowi, jest z nim najszcześliwszą, i już autor ani jednym słówkiem, ani jedną okolicznością lub napomknieniem nie daje poznać, że się tak źle stało i że się tak stać nie było powinno. Kiedy przed kilkonastoma laty Korzeniowski napisał *Tadeusza Bezimiennego*, gdzie jakaś pani polska wychodzi za Moskala, powstało ogromne na tego pisarza oburzenie, że dziewczosłębi stadłom polek z naszymi wrogami. Oburzeniu temu wymowny dał wyraz *Klaczko*, wskazując zarazem na powieści p. Kraszewskiego, które uczuć patryotycznych nigdy nie obrażały. Aż tu i tego doczekaliśmy się. Nie jesteście tu jedynym więcej dowodem, że p. Kraszewski, folgując swym politycznym namiętnościom, traci w zarozumiałości swojej nie tylko ostatki talentu ale i wszelki zmysł przyzwoitości. Zbyski kończy na samobójstwie. Piękny to przykład dla tych młodocianych patryotów, co raz pobożawawszy trochę za ojczyznę, później trawią całe życie w próżniaczej tęsknocie, w bezpłodnych skargach, żaląc się na wszystko i na wszystkich, oprócz siebie, i za uciski nieprzyjawnego losu mszczą się potwarzami na własnych rodakach. Miałaby smutny koniec Zbyskiego być bezwiednie nakreślonym obrazem tego moralnego zabójstwa, które autor sam na sobie popelnia?

LIST OJCA ŚWIĘTEGO i nasze dziennikarstwo.

Największą plagą naszych czasów jest bez zaprzeczenia rewolucyjne dziennikarstwo. Zbrodni, jakich się dopuszczała komuna paryzka, nie tyle są winni jej przewodzcy, ile tacy pisarze jak Proudhon, Louis Blanc, Saint-Boeuf, Flavin, Renan; tacy oratorowie, jak Favre, i Gambetta, pozytywiści z *Revue des deux Mondes*; apostołowie głupiego liberalizmu, i cała plejada redaktorów takich jak *Opinion Nationale*, *Siècle*, *Figaro*, *Charivari* i tysięcy świątków. Ci są właściwie twórcami i ojcami komunistów, oni komunę stworzyli. Niektórzy z nich żyją jeszcze dzisiaj i wypierają się w żywe oczy wszelkiego z nią współnictwa, kamieniami potępienia na przywódców krwawego dramatu rzucają. Na nic się nie zdadzą ich protesta. Daremnie! Przez nich to zrodzone są te plody, te nieszczęśliwe ofiary zasad, jakie w nich wpoili. Cóż lepszego uczynić mogli? gdzie zająć? kiedy ich wścieklemi rewolucyi karmiono doktrynami. Gangrena moralna równie jak fizyczna prowadzić musi do zgnilizny, jeśli się jej rychło nie zaradzi. Dziennikarstwo liberalno-rewolucyjne we Francyi szczypiło gangrenę i stworzyło upadek swojego narodu i krwawą komunę. Oddawna przewidywano te następstwa: Ojciec św. po kilkakroć podnosił głos swój i napominał, nie zważano — i sromotne, krwawe chwile nadeszły. Nie otworzyło to jednak ani ludom ani rządóm jeszcze oczu, rewolucyjna prasa pod różnorodnemi barwami i w tysiącnym rodzaju na nowo po wszystkich rozszerza się krajach. Skompromitowawszy, (jak się wyraziła należąca do tej drużyny jedna u nas gazeta) cywilizacją, zabić ją usiłuje — i do kompletnej społeczeństwo przywieść barbarzy. Dzisiaj Rzym obrała za swoje najgłówniejsze dla siebie siedlisko — i w samo serce katolickiego życia godzi! W obec takiego stanu Ojciec św. użył broni, do jakiej ma władzę i zakazał wiernym czytania złych dzienników. List Ojca św. wystosowany w tym celu do Kardynała Wikarego umieszczamy in extenso:

„Kardynale! Gdy Bóg w nieprzeniknionych zamiarach swoich dopuścił, aby Rzym był zajęty wbrew prawu, przywłaszczyli ogłosili, że Rzym potrzebny jest do całości Włoch i do zupełnego zjednoczenia wszystkich ich części, jak gdyby nie było jeszcze we Włoszech dwóch małych kawałków, które pozostają pod dawnym swym rządem i jak mam nadzieję, pozostaną pod nim na zawsze.

„Jednak celem owych wielkich robotników rewolucyi nie tylko było przywłaszczenie miasta jak Rzym, celem ich było i jest jeszcze zniszczenie ogniska katolicyzmu i katolicyzmu samego. Do owego zniszczenia dzieła nie dającego się zniszczyć, podali rękę wszyscy bezbożni, wszyscy wolnomyśliciele, wszyscy sekciarze świata znosząc każdy część przypadającą na siebie do owego grodu.

„Wszystkie te małe bataliony zebrały się w jeden wielki korpus i celem ich było złyc i gruchotać wizerunki N. Maryi Panny i świętych, zuwiewać i ścigać sługi świętego przybytku, gwałcić kościoły i dni świąteczne, mnożyć domy nierządu, głuszyć uszy swemi świętokradzkimi krzykami, i wszczepiać w serca i umysły, szczególnie młodzieży, truciznę bezbożności za pomocą pewnych dzienników nad miarę bezwstydných, obłudnych, kłamliwych i niereligijnych.

„Owa piekielna falanga przybrała sobie do głowy wykorzenienie z Rzymu tego, co nazywają fanatyzmem religijnym, jak to mówił smutnej pamięci filozof

włoski, nagle przed kilku laty zmarły. Rozgościwszy się w Rzymie, chce ona uczynić miasto to niewiernem lub zrobić zeń ognisko religii zwanej tolerancją, jakiej chcą ci, co nie mają przed oczyma idei innego życia, jak życie teraźniejsze, i ci, co sobie wyobrażają, że Bóg zostawia wolną kolej sprawom ludzkim, nie troszcząc się prawie o nasze czyny.

„A rząd, który cierpi cały ten bezład, czy także należy do owej falangi? Chcemy mieć nadzieję, że nie, gdyż potwierdzenie tego byłoby oplakiwania godnem ogłoszeniem upadku tronu. Jednak aby podać jakieś lekarstwo na tyle cierpień, roześlesz kardynale, okólnik do proboszczów, aby ostrzegli swych parafian, że wzbronionem im jest czytanie pewnych dzienników, mianowicie tych, które drukują się w Rzymie, i aby zakaz ten wydany był w taki sposób, iżby ci, którzy go nie uwzględnią, pojęli, iż popełniają nie grzech powszedni, lecz grzech śmiertelny. Co się tyczy reszty obraz powyżej wspomnianych, a dotyczących pogwałcenia ustaw Bożych i kościelnych powiesz każdemu proboszczowi: *Argue, obsecra, increpa*.

„W końcu wnieśmy ręce ku Bogu, i miejmy nadzieję, że tyle zamachów przeciw Niemu, przeciw Jego religii i przeciw samemu społeczeństwu, będą mieć koniec, i że będziemy kiedyś mogli wyjść z tego labiryntu złego aby odechnąć spokojnie w cieniu wiary, moralności i porządku.

„Błogosławię cię z całego serca.

„Dnia 30. czerwca w święto św. Pawła.

„Niech się wszyscy nawrócą i niech żyją, aby mogli zawołać do Pana naszego Jezusa Chrystusa: Panie! cóż chcesz, abym czynił?

Pius IX., Papież.“

„Kardynał Wikary w skutek tego listu wysłał okólnik do proboszczów, w którym w imieniu Papieża poleca im zakazać wiernym *sub gravi* czytanie dzienników rzymskich niekatolickich, a mianowicie: *la Capitale, la Libertà, il Tempo, il Tribuno, Don Pirlone, Diavolo color di rosa, Nouva Roma, Raspa Vita Nuova, Concordia i Mefistofele*.“ (Czas).

Po ogłoszeniu z ambon rozdzorządzenia kardynała Wikarego, sekciarze chcą pokazać, że zakaz wprost przeciwne wywarł skutki, że ludność Rzymska niezastosowała się do niego, rzucili się tłumnie do biur owych dzienników rozkupując po kilka egzemplarzy każdego z osobna, kiedy jednak w dni parę prawdziwa ludność miasta poprzestała je prenumerować, *rabies massonica* wybuchła na piękne, ukryć jej dłużej niebyli już wstanie.

I u nas w Galicyi nasze liberalne dzienniki nie lepsze podobno od takiej *La Capitale i La Libertà*, przynajmniej w zasadach wcale się od nich nie różnią a w wycieczkach swoich przeciwko Kościołowi, w formie, w jakiej te wycieczki bywają czynione, *Kraj, Dziennik Polski i Gazeta Narodowa* przegalopowały włoskich swoich druhów. Za żydem Arbibem¹⁾ nasi pp. Redaktorowie musieliby nosić jeszcze swoje teczki i uczyć się od niego oglądy w polemice. Lwowskie dziennikarstwo to prawdziwy skandal w polskiem naszym społeczeństwie. Polak nawet w obec wroga odznaczał się zawsze szczerością, szlachetnością charakteru i uczciwością, liberalna zaś lwowska publicystyka wszystkie te cnoty wraz z wiarą, nauką, logiką i językiem na najzupełniejszą skazała banicyą. Licha nizanina z płaskich i gminnych zdzierzguna dowcipów,

¹⁾ Redaktor dziennika *La Libertà*.

ze skandalicznych nowinek z fanatyzmu, aż do wściekłości przeciwko Kościołowi posuniętego, kał, błoto wypełniają zazwyczaj tło jej polemiki. Uczciwości w niej nieznajdziesz, sama tylko zła wiara, posądzania i inwektywy. Nic świętego ostać się nie może. Dogmata wiary wydrwione²⁾ Korporacje religijne wyszydzone³⁾ Dostojnicy kościoła nazwani zbrodniarzami za wierność swoją kościołowi⁴⁾. Dziewice poświęcone Bogu łzone ustawicznie. Potępiane religijne wychowanie⁵⁾. Mężowie nauki i cnoty obelżywymi wyzywani słowami⁶⁾. Na wszystko rzucają błotem, wiek, godność, zasługi w narodzie, poświęcenie, się najmniejszego nie znajdują uwzględnienia. Czytając, serce ci pęka, zdaje ci się żeś w kraju akatolickim otoczony godzącymi na twój honor, wiarę, na twoje życie brygantami. Niedosyć im było wprowadzić do naszego języka nowo ukute dzikie jakieś wyrazy, skazić piękną mowę polską, potrzeba ją było jeszcze użyć za taran do zdrugotnienia ostatniej po ojcach pozostałej nam spuścizny, wiary świętej i iść tą razą ręką w rękę z wrogami północy. I takie dzienniki przenieść jeszcze kapłani! Cóż dziwnego, że one później śmieją ich zaliczać do swojego grona i pisać jak to uczynił *Dziennik polski*, że duchowieństwo wierzy tylko w nieomylność samego Boga, ale nie w nowo ukute artykuły wiary jak się tego domyślać nam każe. Cóż dziwnego, że ci, których wiadomości naukowe nie wybiegają po za granice łamów *Starej i Nowej Pressy*, lub kilku-nastu tomów skandalicznych z piekielnego życia wziętych powieści, zarzucają duchowieństwu, które płaci za ich ramoty, ciemnotę i obskurantyzm? Cóż dziwnego, że taki człowiek, według skali swojej niewiary i swojego honoru o swoich czytelnikach sądzi? Czyż to już nie czas położyć raz tamę tym z każdym dniem zuchwalej występującym pismakom? Żadne nas już od tego wstrzymać nie powinny względy Straszą, że jedność rozrywamy. Oni co oddawna bijąc w katolicyzm, na którym jedność nasza powstała i wzrosła, wszelkie zerwali z nią związki! Oni chcą jedności? więc niech do niej wrócą. Nikt od nas więcej tego nie pragnie, ale jedności na podstawie wiary. Inaczej niewolno nam katolikom, nam kapłanom podtrzymywać ich jeszcze, ale najświętszym jest obowiązkiem otwarcie przeciw nim się oświadczyć i wytrącić niepożyciwe ich pisma z rąk wiernych. Chwila zaś, w której duchowieństwo nasze krok podobny uczyni, zaznaczy w rocznikach kościoła i narodu najwyższą dla niego chwałę! Ochronią bowiem wiarę od rozboju, społeczeństwo od upadku, rozum od obłędu, mowę od skażenia, a polską literaturę od sromotnych i piekielnego życia pełnych powieści!....

²⁾ Nieomylność papieżka nazwana przez *Gazetę Narod.* śmiesznością, dalej, udogmatyzowaniem najbezwzględniejszego despotyzmu (Nr. 197 z 20 czerwca r. b.) Nowo ukutym artykułem wiary Nr. 194 przez *Dzien. Pol.*
³⁾ Sercanki oddalone od miłości Zbawiciela. *Dziennik polski* Nr. 194 korespon. z Krakowa. Poprzednio zaś *Dziennik polski* rzucił obelgi na siostry szarytki. ⁴⁾ *Gazeta Narodowa*. Księdza arcybiskupa Ledóchowskiego. ⁵⁾ *Dziennik Polski* Nr. 194 zakład dotąd na wskrós polski (pp. prezentek w Krakowie); dzisiaj przekształcony w hodowlę kosmpolitek. ⁶⁾ Ks. biskup Gałeczki zelżony. (*Dziennik Polski* Nr. 194.) Dwaj nasi prałaci. (*Dziennik Polski* Nr. 197 z 19 lipca r. b.)

K r o n i k a.

Rząd piemontcki od chwili świętokradzkiej grabieży Rzymu robił co mógł aby się tam demoralizacja rozkrzewiła. Dzisiaj powinien być zadowolonym. Zabójstwa, kradzieże na porządku dziennym tak dalece, że w obec nich prawo staje się bezsilnem. *Korespondencya Genevska* (Nr. 115. 25 Juillet 1871) podaje nam liczne bardzo fakta. Niedawno w obec stróżów bezpieczeństwa mordowano się w najlepsze, zostało trzy trupy na placu i dopiero po półgodzinnym rozboju nadeszło wojsko. *Dimonstrati*, jak nazywają tam partya ruchu, mogą robić co im się podoba. *Questurini* szlachtetnego rządu, co wytrychem zdobył cudzą własność, udają że o niczem nie wiedzą. Sam Ojciec święty niepewnym jest życia. *L'Univers* (z 14 lipca r. b. korespondencya z Florencyi) o następującem opowiada zdarzeniu: „Kilka dni temu oddano w Watykanie ogromną z nadzwyczaj piękniemi ozdobami świecę z prośbą, aby ją można zapalić podczas mszy Ojca św. Z miłą chęcią zastosowano się do gorących prośb pobożnego oñarodawcy z tą tylko różnicą, że miasto umieścić ją na ołtarzu, ustawiono ją na ziemi zdala od ołtarza. Ojciec św. zaledwie nie dostrzegł, polecil ją zgasić. Po skończonej mszy świętej rozkazał przynieść ją do siebie i zapytał z kąd pochodzi. Nikt nie mógł dać objaśnienia. Połamano ją tedy nadzwyczaj ostrożnie i znaleziono w środku male bomby Orsiniego.“ Rzecz nie potrzebuje dalszego komentarza. Do czego to już przyszło! Jak dawniej tak i dzisiaj przed niczem nie wdrygnie się zaciekla sekciarz nienawiść do Kościoła! Nic więc dziwnego, że i przed samemi oknami Ojca św. wyprawiała *abbietta canaglia* wrzaski: *morte ai preti, morte o Papa!* Taką to wolność i poszanowanie zapewnili Głowie Kościoła Piemontczycy. Brygantyzm w aktach rządu, brygantyzm na ulicy, rozbójnicze napady w półurzędowej nawet prasie. *La Libertà* np. w kilka dni po zakazie kardynała-wikarego, zapelnila cale trzy ogromne szpalty najsprośnieszemi obelgami na świętą osobę Piusa IX. „Już raz przynajmniej tego niedołężnego starca obłożyć należy ex-kommuniką — ale taką, coby go na mocy prawa na najkompletniejszą na zawsze skazała banicyą“. I rząd Wiktora Emanuela ani jednego słowa nagany nie dał za to redaktorowi *della Libertà*.... Wolnym miał być Kościół — piękną ma on wolność, jeżeli na Głowę Jego wolno bezkarnie rzucać takimi słowami. Rządy republikańskie, te właśnie, na które odwoływali się i odwołują sekciarze — rządy Stanów Zjednoczonych w Ameryce inaczej nieco wolność pojmują. — Oto co czytamy w *Boston pilot*:¹⁾ „Znaną jest dobrze głośna księgarnia pana Harpes w New - Yorku. — Zakład ten, wyłączny miał dotąd przywilej dostarczania dla szkół publicznych przepisanych przez Radę szkolną książek. Z tego powodu księgarnia miała piękny bardzo zysk, bo dwakroć sto tysięcy rocznie dolarów. Otóż nakładem p. Harpes wychodził *Illustrowany Tygodnik*, dla młodzieży poświęcony. — Cóż się robi? — W miesiącu czerwcu wydawcy pozwolili sobie umieścić obrzy-

¹⁾ Podane w *l'Univers* z dnia 14 lipca r. b.

dłe karykatury wyszydające Ojca świętego. W skutek tego, prezydent Stanów Zjednoczonych pozbawił księgarnię dawnego przywileju, zawiadomił o tem urzędownie publiczność i łącznie z komisją publicznego wychowania uchwalił, że: „w skutek dopuszczenia się podobnych publikacyi, zakazuje się młodzieży szkolnej kupować książki w rzeczonej księgarni“.

Tak postąpił rząd protestanckiej republiki w chwili kiedy dawne monarchie i królowie nietylko że opuścili namiestnika Chrystusowego, ale obmywając ręce, wydali Go na łup rozjuszonej rewolucjonistów tłuszczy. Tem lepiej — powtórzyły za korespondencyą genewską, rachuby ludzkie rozwiane — z przychylnością oświadczający się nie dawno, jak skoro porośli w siłę, do prześladowania Kościoła zabierają się na piękne. Tem lepiej — bo zrucili maskę, w którą przystroili się byli chytrze — i luterskie wyciągają już szpony. Tem lepiej — „Bóg rozśmieje się niezadługo z królów, zgruchocze ich trony, aby wśród ogólnych ruin mógł się wznieść wolny od wszelkich ludzkich więzów tron Jego“¹⁾.

W Rzymie tymczasem nowe powstają katolickie dzienniki. *La Lima*, z dewizą z Ariosta: „*All Italica ruggine aspra lima*“. Ma to więc być dziennik humorystyczny, smagający dowcipami wszystkie czyny i głupoty rewolucyjnej w Rzymie zgrai. *Frustra* dała się już była dobrze tym panom w znaki. Wytoczono jej proces i mimo silnego parcia rządu i całej massońskiej prassy, przysięgli nie znaleźli żadnego przestępstwa, rząd zapłacił kosztą procesu.

Francya misye swoje na nowo podejmuje. Rozprawy w Ciele prawodawczem dowodzą, że katolicy zawsze przeważny wpływ wywierać mogą we Francyi, jak tylko nie ma szalbierskiego rządu co im wszelką krępuje wolność. *Francya quand même* zawsze katolicką. Żałujemy, że nam dzisiaj podać nie podobna mów p. Thiersa i Mgr. Dupanloup.

W *Niemczech* ruch döllingeryański rozwija się popierany i płacony przez rząd pruski. Da pan Bóg w przyszłym zeszycie, obszerną zdamy o tem relacyą. *Gazeta Narodowa* (Nr. z 30 lipca) wnosi z tego, że Ultramontanie upamiętają się tą razą i pod protekcyą jej redaktora udadzą się nie wątpliwie, aby ich z narodem gazeciarskim pojednal. Myli się gazeta bardzo. Bici od was, bici od Moskali, bici od Prusaków, nigdy nie ustąpiły ani na włos od naszych zasad i przekonań, — pozostaniemy im wierni. Wolno nam szukać dla ojca pomocy, ale nie wolno od wiary i zasad odstępować a sojusz z wami w takim razie nietylko że na nicby nam się przydał, ale zgubilibyśmy i siebie, i was moi panowie, i kraj cały i wiarę złamali. Z obecnego zaś obrotu rzeczy wam się przedewszystkiem nasuwa raz jeszcze sposobność, przekonania się, że ilekroć razy propagujecie zasady rewolucyi, niewiary, liberalizmu, *vous travaillez toujours pour le Roi de Prusse* i północnej schizmy.

* * *

Tygodnik Wielkopolski (Nr. 31) bardzo piękny powiedział nam komplement. Nie gniewamy się wcale, wszak w komunach dosadniejsze

¹⁾ Słowa Nuncjusza papies. w Belgii w *Bien public de Gand* 23 Juillet.

jeszcze prawie zwykli komplementa. Jedną tylko mamy prośbę do *Tygodnika*, niechaj się nie obawia, aby pasożyt lwowski (*sic*) pochłonął te soki jakie *Gazeta Literacka* spożywa. Do takich soków czujemy nieprzezwyjęzony wstręt. Co się zaś tyczy soków *Tygodnika Wielkopolskiego* to damy maleńki ich opis publiczności naszej w Galicji, warto aby wiadano czem one właściwie są i jakie mogą sprowadzić następstwa. Zechce tylko *Tygodnik* dla przyspieszenia rzeczy, rychlej ukończyć ów artykuł pelen subtelnych myśli Dr. Olendzkiego a przy nim i Dr. Libelta.

Artykuł ostatniego głębokim przejął nas smutkiem. Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk puścił się w ostatku dni swoich na propagatora materializmu. — Dowodzi *à la Siècle*, że katolicy są istni żołdacy Omara — mówi o Gallileuszu *à la bon Ponsard* śp. „O mnożeniu dogmatów czyli tajemnic wiary twierdzi, że to w ogóle nie na czasie, następnie że w niepomysłnej dobie uchwalonym i ogłoszonym został dogmat Niepokalanego poczęcia N. M. P. (i o tem nawet tak się p. L. wyraża! Miły Boże przebacz!) a następnie dogmat nieomylności(!).“ Czy to być może, aby mąż dobrze zasłużony „nie tylko piśmiennictwu ale i Kościołowi(!) „prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w taki odzywał się sposób? Cóż to ma znaczyć? — „Co o tego rodzaju fanatycznych porywach trzymać?.....“

* * *

Nie dawaliśmy nigdy recenzji *Rękodzielnika*, raz żeśmy nie chcieli dawać mu rozgłosu, a powtóre sądziliśmy, że ci, co czytują *Czas* i nasz *Przegląd*, łącno poznać się mogą na tym towarze. Tymczasem zarządzający czytelnią katolicką w Jabłonkowie na Szląsku austriackiem, nie przypuszczając nawet, aby pismo dla klas ludowych przeznaczone, mogło propagować socyalne i bezbożne teorye — zaprenumerowawszy, bez przejrzenia, tę rybę położył w czytelni. Dopiero nasz *Przegląd* zwrócił podobno jego uwagę. Ileż to złych pism w ten sposób w najpocześniejsze ręce się dostaje. Przypomina nam się tutaj jeden z obywateli. Dziękował nam, żeśmy wypowiedzieli *Gazecie Narodowej* czem jest i gdzie nas zaprowadzić myśli. — „Niech ci Bóg zapłaci mój księżę — porzuciłem ją już i zaprenumerowałem sobie *Dziennik Polski*“. *Bene* — z deszczu pod rynnę i to jaką jeszcze!

* * *

P. Tadeusz Romanowicz rozmachał się w *Gazecie Literackiej* i na listach Nie-Juniusa pędzi siarczyście jak na welocypedzie. Pulchre, pulchre, uczy się greki i wertuje Platona — poświęca się poezyi i przyduje na egzaminach w konwiktach panięńskich. Pannę Felicyę Wasilewską pochwalili, aż serce się raduje. — Hoffmanowa niczem... gdzie tam Hoffmanowa! — ona gdyby była ochmistrzynią, wychowywałaby pewnie panienki, niewiemy już jak się wysłowić, na... dewotki. .. gorzej — na ultramontanki. Do takiego wychowania pani Felicya W. nigdy a nigdy przyczynić się nie zechce i dla tego panienki będą dokładnie znały, jakie szkody zrzędziła Polsce scholastyka — Jezuici — jaki to był zły człowiek ów Grzegorz VII a jaki sławny Frycz Modrzewski, ten najznakomitszy pisarz polityczny w Polsce, ów wyśmienity Kalwin! etc. i różne

jeszcze bardzo piękne rzeczy!..... Kiedy wspomnieliśmy o *Gazecie Literackiej*, należy wspomnieć i o *Woli*. Biedactwo, przeszła już do historii okazów archeologicznych. Ciepło piersi p. Teofila Szumskiego nie mogło nic a nic upadkowi zaradzić. — Biedna *Wola!* Biedny p. Teofil Szumski!

* * *

„Polacy w rewolucyi paryzkiej“. Kilka szczegółów odstawiających kulisy rządu wersalskiego. Napisał Bronisław Wołcowski. We Lwowie. Nakładem F. H. Richtera 1871 r.

Jest to apologia Jarosława Dąbrowskiego i Polaków, którzy udział wzięli w Komunie. Autor, republikanin z przekonania, nienawidzący Thiersa „starego lisa“ i *assablée nationale*, nie usprawiedliwia też i Komuny — ale dowodzi „czystości przekonani i uczuć“ Polaków w komunie udział biorących — i wypowiada śmiało: „cześć im“ — (str. 51). Dąbrowski nie jako rewolucjonista, ale jako Polak stanął na czele bratobójczego ruchu. Autor popiera twierdzenie korespondencyą Dąbrowskiego i cytatami swojej z nim rozmowy. Zaprzecza dalej stanowczo, jakoby Dąbrowski był agentem pruskim i zdrajcą komuny, gotowym sprzedać ją Thiersowi za 1½ miliona franków. Owszem z propozycją podobną wystąpił p. Picard, minister spraw wewnętrznych, a użyć chciał w tem pośrednictwa samegoż autora. Dąbrowski jednak z oburzeniem odepchnął wszelkie podobne insynuacje. Epizod ten z życia Dąbrowskiego, najciekawszy może z całej broszury, która zresztą od początku do końca czyta się z zajęciem i wyteżoną uwagą, powinien być znaleźć miejsce we wszystkich dziennikach.

Czyli Polakom komunę należy się „cześć“, o to nie będziemy się spierać z autorem, dla tej prostej przyczyny, że byłaby to praca daremna; nie chcemy nawet odmówić autorowi szlachetności intencji i sumiennosci w przytoczeniu nieznanych dotąd dokumentów — ale o jedno spytać go musimy: czyli w obec rozumu loiczną, w obec moralności godziwą jest taka „*abstractio*“ jaką autor uczynił, gdy na str. 50 pisze: „polegli — ja nie pytam i nie wglądam w jakiej sprawie?“

Samo wmięszanie się do sprawy Komuny jest zbrodnią i na bezwzględne zasługuje potępienie.

* * *

Die Katoliken-Autonomie in Ungarn. Wesen, Geschichte und Aufgabe derselben, dargestellt von Prof. Joh. Heinr. Schwicker. Pest 1870.

Jest - to jak sam autor wyznaje (str. 97) „pobieżny szkic historycznego rozwoju autonomii katolickiej“ w duchu liberalno-katolickim napisany. Autor wychodzi z tej zasady: Kościół katolicki zostawał dotąd pod przeważnym wpływem wyższego kleru i arystokracji, którzy znów ulegali do r. 1867 rządowi — otóż należy go uwolnić od wpływu rządu z jednej strony, a z drugiej należy świeckim „*den Leien*“ przywrócić ich dawne prawa w zarządzie zewnętrznym i doczesnym Kościoła, zostawiając dogmat i naukę wyłącznie duchownym. Stają tu dwa obozy do walki: „kler wyższy z arystokracją i kler niższy z ludem i z uczonymi niedowierzającymi i rozżalonymi“ (str. 74) na episkopat, do których liczy się i sam p. Schwicker.

Chodzi tu więc o „zdemokratyzowanie“ Kościoła, wprowadzając do zarządu zewnętrznego i świeckich a to „w przeważnej części“. Jakoż kongres

autonomiczny składa się z dwóch trzecich części świeckich a z jednej części duchownych deputatów. Nauka wiary i dogmat zostaje nietknięty. Obsadzanie probostw, zarząd dóbr duchownych, szkoły i seminarja, oto przedmiot obrad i uchwał kongresu. Przeprowadziwszy swój historyczny wywód, w ciągu którego „ultraklerykalni“ nie jedną otrzymali cieżę, a Döllinger, biskup Maret i O. Hyacynt nazwani „*Vorkämpfer einer vernünftigen Reform in der Kirche*“ (str. 53) zapytuje autor: co Rzym powie na to „*wie Rom zu dieser Institution sich verhalten wird?*“ (str. 109) i odpowiada: Rzym był zawsze pobłażliwym, „*im schlimmsten Falle liess man die Dinge gehen wenn man sie nicht ändern konnte*“ (str. 110). Tego spodziewa się autor i teraz i wzywa Węgrów, aby na wzór przodków nie dopuścili nigdy papieżom bezpośredniego wpływu „*einen direkten Einfluss*“ na autonomię katolicką, która jest czysto narodową sprawą „*rein nationale Angelegenheit*“ (str. 111). To już wystarczy, aby ocenić wartość broszury i autora. Treścią i dążnością jest ona protestancką i nawet niektórymi zwrotami mówienia przypomina pisma pierwszych protestantów, którzy także pierw na hierarchią i zewnętrzny zarząd Kościoła się rzucili, nim na dogmata powstali.

* * *

Korespondent rzymski do *Vaterlandu* pisze między innymi co następuje: „Dotychczas nie donosiłem nic o obrazie Madonny¹⁾ przy wchodzie do kościoła św. Chryzogona umieszczonym, na którym podług zeznania mnóstwa świadków od trzech czy czterech tygodni Madonna obraca oczyma. Mniemałem z początku sam, że jest to tylko złudzeniem wzroku. Teraz zaś, gdy około sto osób pozwoliło zapisać swe nazwiska, aby w razie potrzeby stwierdzić przysięgą, że obracanie ocz widzieli; teraz gdy niedawno temu (było to jeśli się nie myle, we środę przed Zielonemi Świątkami), mnóstwo ludu bez różnicy płci i stanu równocześnie fakt ten oglądało, a teraz cały Rzym i wszystkie dzienniki o tym tylko opowiadają, z obowiązku kronikarskiego powinienem o tem donieść. W nocy z dnia 3 na 4 bm. skalala jakaś zbrodnicza ręka obraz ten błotem, co wprawiło Transteweran we wściekłość. Po oczyszczeniu, oczy napowrót roztwierać się poczęły. Obraz ten jest nowym, bo zaledwie przed kilkoma laty sprawiła go księżna Odes calchi (z domu Branicka). Tuż pod bokiem obrazu tego ustawionym jest Pius IX, na którego, jak mówią, Madonna łaskawie zpoziera. Opowiadają sobie cuda o nawróceniu pewnego oficera piemontckiego“.

* * *

Tygodnik katolicki Nr. 29 z dnia 22 lipca zawiera: List Ojca św. do Kardynała Patrizzi, wikarego generalnego w Rzymie. — O Papieżu — nauka druga ks Semeniuki. — Korespondencye: Rzym 1, 2. — Budzyń — Lwów. — Recenzje i krytyki. — Sprawozdanie deputacyi wysłanej z adresem wielkopolskim do Ojca św. Papieża Piusa IX. (Dokończenie). — Artykuł *Dziennika*: „Jeszcze petycyje parkowskie.“ — Odpowiedź p. Krzyżanowskiemu. — Korespondencya z Krotoszyńskiego w *Dzienniku*. — Wiadomości potoczne.

¹⁾ Nie jest to obraz, ale posąg marmurowy (*Przyp. Red.*)

W NASTĘPNYCH ZESZYTACH

pomiędzy innymi zamieszczać będziemy:

1. Cudowne miejsca w Polsce. (artyściezno - literacko - historyczne).
 2. Dziennik Poznański i Ultramontanie polscy. (ciąg dalszy).
 3. Portrety pośmiertne przez hr. Z. L. D. — II. X. Biskup Żętownski.
 4. Lamartine, jego życie, dzieła wpływ, na społeczeństwo, przez p. Adama Kreczowieckiego.
 5. J. Maksymilian Fredro, jego życie, dzieła etc. napisał Dr. Skrzydyłka.
 6. Poeci. — Wieszcz. — Dante i Mickiewicz. przez X. Jachimowskiego
 7. Gawędy o antropologii (ciąg dalszy).
 8. Bezkrólewie pod Batorym na 2 nieznanym dokumentach osnute. X. Polkowski.
 9. O metodzie scholastycznej, jej geneza, rozwijanie się i dojrzałość. (c. d.)
X. kan. Zygmunt Goliań.
 10. Historia synodów w Polsce, przez hr. M. Dzieduszyckiego.
 11. O J. Leopolicie — X. I. Polkowski.
 12. Postępy Zoologii.
 13. Buchner — siła i materya, przez b. profesora b. szkoły głównej w Warszawie.
 14. Ciemnota wieków średnich — scholastyka, artyści, poeci, uczeni, uniwersyteta.
 15. Nowe odkrycia w środkowej Afryce (ciąg dalszy).
 16. Rzym i Londyn.
 17. Studium bibliograficzno - historyczne o wszystkich peryodycznym pismach w języku polskim, wydawanych w wieku przeszłym. X. Ign. Polkowski.
 18. Trzecie wydanie żywotów ŚŚ. Skargi. przez **.
 19. Dante Beatrycja i Wirgiliusz.
 20. O architekturze. Przez **.
 21. Tygodnik Wielkopolski — jego redaktorowie — ich wiedza — ich prace i szerzone przez nich zasady.
 22. Prelekcye historii kościelnej na Uniwersytecie Lwowskim.
 23. Nieszczęśliwi. (Ciąg dalszy).
-

Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4;
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu“ u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego i p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatscha; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l. 24.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego
wyszła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

PIUSA ŚW. PIUSA IX.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim	2 zł. — ct.
na papierze listowym	1 „ 50 „
na papierze zwykłym	1 „ — „

